# płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 1—15 · VI · 1985 | 11


Fot. Wiesław Sumiński

# Do widzenia z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

— Przecież ja się już raz dziś kąpałem!

— Proszę bardzo, mogę się wykąpać, ale po co brudzić taką czystą wodę!

— Zaraz wrócę, tylko mnie mama wykąpie!

## A TO CIEKAWE!

W INDIACH stosuje się ponad 100 różnych kalendarzy. Prawie każdy stan (odpowiednik naszego województwa) ma swój własny system liczenia czasu. Kalendarze te różnią się między sobą datą rozpoczynania roku, liczbą miesięcy, dni w miesiącach oraz nazwami miesięcy. Władze centralne Indii czynią starania, aby wprowadzić jednolity system kalendarzowy w całym kraju.

●

ORANGUTANY należą do zwierząt, którym grozi wyginięcie. Małpy te żyją tylko na dwóch wyspach: na Borneo i Sumatrze. Liczba ich w zastraszającym tempie maleje. Nieustannie polują na nie myśliwi, kłusownicy i łowcy zwierząt dla różnych ogrodów zoologicznych. Amatorów takiego zarobku nie brak, gdyż ceny za orangutany są bardzo wysokie.

●

W KRAKOWIE powołano komitet założycielski nowego teatru zawodowego, który będzie dawał swoje przedstawienia w... kopalni soli w Wieliczce, 120 m pod ziemią.

MIĘDZYNARODOWY PORT LOTNICZY na Okęciu w Warszawie zajmuje obszar blisko 500 hektarów, z czego 332 hektary to tereny zielone lotniska (trzeba je 3—4 razy kosić w ciągu lata), 126 hektarów — to betonowe pasy startowe i drogi dojazdowe (zimą bez przerwy odśnieżane i odmrażane) oraz 7 hektarów — to obszar, na którym stoją hangary i budynki.

Na warszawskim międzynarodowym lotnisku pracuje ponad 5 tysięcy osób.

●

MIESZKAŃCY indonezyjskich wysepek Chadin i Palan przesyłają listy pocztą butelkową. Między tymi wysepkami przepływają prądy morskie w taki sposób, że butelka z listem wrzucona do morza u brzegu jednej wysepki następnego dnia dociera do wybrzeży drugiej. Natomiast statek między tymi wysepkami kursuje raz na tydzień i może dostarczyć pocztę dopiero po siedmiu dniach.

●

TYLKO jedna uczennica chodzi do szkoły na duńskiej wyspie Avernike. Lekcji udziela jej trzech nauczycieli.

## Nasza okładka:

O „Szczygiełkach" przeczytajcie na str. 24

# NIEDALEKO I DALEKO

*W domu córka jak słoneczko*
*świeci,*
*to jej święto i wszystkich*
*dzieci.*

*A tam dalej, na północy,*
*foka*
*uśmiecha się do dzieci,*
*bo je kocha.*

*Na południu, gdzie niebo*
*jak płomień,*
*zatrąbiły na cześć dzieci*
*słonie.*

*Na wschodzie wszystkie chińskie*
*smoki*
*przyszły jak koty pod płoty*
*do szkolnych okien.*

*Na zachodzie to samo:*
*co kto miał,*
*wyciągał i trąbił,*
*i grał.*

*Zgiełk się podniósł w ten*
*pierwszy dzień czerwca,*
*że aż wszystkim dorosłym*
*drgnęły serca.*

*Tadeusz Kubiak*

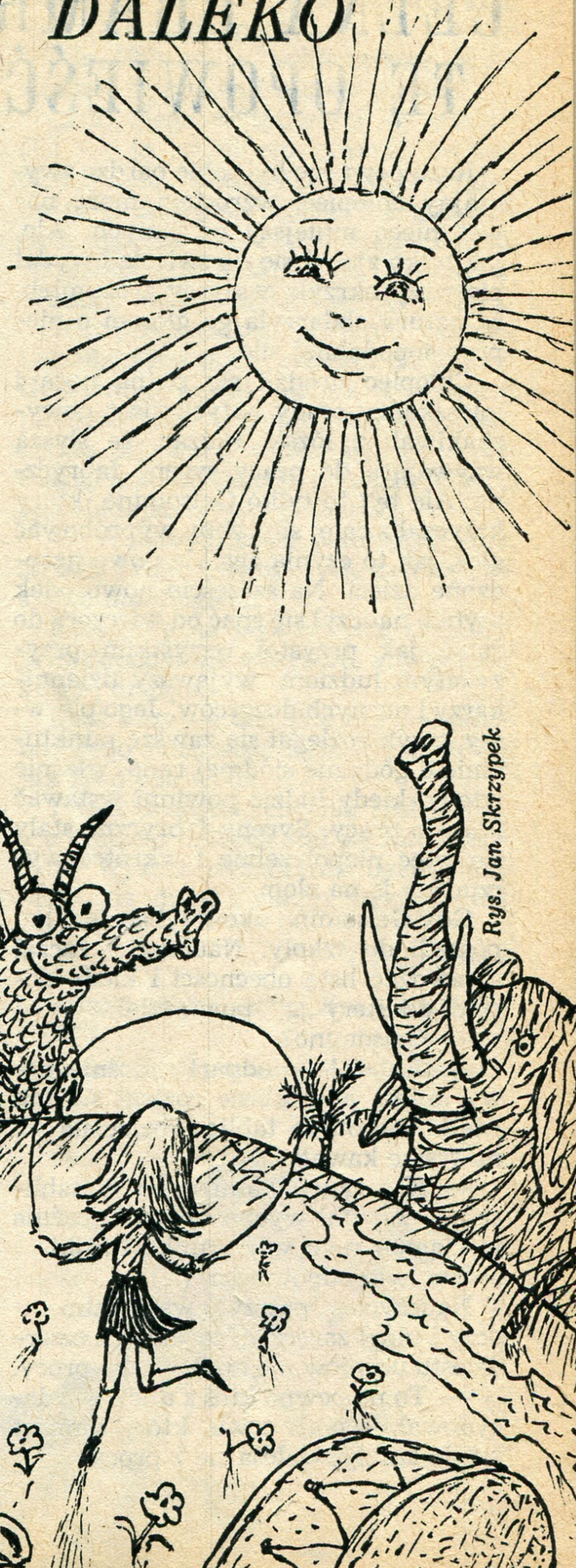

*Rys. Jan Skrzypek*

# CELNA BRAMKA GELSOMINA TĘ OPOWIEŚĆ ROZPOCZYNA

Razu pewnego był sobie bardzo zwyczajny chłopiec, wzrostem może nawet nieco mniejszy od innych. Ale, jak tylko zjawił się na świecie i wydał pierwszy okrzyk, wszyscy zrozumieli, że natura obdarzyła go głosem o nieprawdopodobnej sile.

Chłopiec urodził się późną nocą i mieszkańcy osady natychmiast powyskakiwali z łóżek, sądząc, że słyszą wzywającą do pracy syrenę fabryczną. Ale był to tylko Gelsomino, który krzyczał z całej siły, żeby wypróbować głos, jak to czynią zwykle nowo narodzone dzieci. Na szczęście noworodek szybko nauczył się spać od wieczora do rana, jak przystoi wszystkim przyzwoitym ludziom, wyjąwszy dziennikarzy i nocnych dozorców. Jego pierwszy krzyk rozlegał się zawsze punktualnie o godzinie siódmej rano, właśnie wtedy, kiedy ludzie powinni wstawać i iść do pracy. Syreny fabryczne stały się więc niepotrzebne i wkrótce wyrzucono je na złom.

Gdy Gelsomino ukończył siedem lat, poszedł do szkoły. Nauczyciel zaczął sprawdzać listę obecności i kiedy doszedł do litery „g", powiedział:

— Gelsomino?

— Jestem! — odparł radośnie nowy uczeń, a w klasie rozległ się tak wielki łoskot, że tablica rozleciała się na tysiąc kawałków.

— Kto rzucił kamieniem w tablicę? — zapytał wychowawca i groźnie wyciągnął rękę w kierunku linijki.

Nie było odpowiedzi. (...)

Nauczyciel patrzył wszystkim w oczy i mógł zaręczyć, że żaden z czterdziestu uczniów nie miał w ręku procy.

— To na pewno ktoś z ulicy — zdecydował — jakiś urwis, który zamiast iść do szkoły, wałęsa się z procą.

Następnego ranka nauczyciel znów zaczął sprawdzać obecność i znów doszedł do Gelsomina.

— Jestem! — rzekł nasz bohater i z dumą spojrzał dookoła, zadowolony, że znów jest w szkole.

— Trach! Trach! — odpowiedziało mu okno. Szyby posypały się na dziedziniec.

— Dziwne — zauważył nauczyciel — wystarczy dojść do twojego nazwiska, aby zaczęły się nieszczęścia. Już wiem, mój chłopcze, ty masz nadzwyczaj silny głos. Kiedy wołasz, powstaje coś w rodzaju huraganu. Skoro więc chcemy zachować szkołę i ratusz, to od tej chwili musisz mówić tylko szeptem. Zgoda?

Gelsomino, zmieszany i czerwony ze wstydu, próbował zaprzeczyć: — Proszę pana, to nie ja!

— Trach! Trach! — odezwała się nowa tablica, którą godzinę temu przyniósł ze sklepu woźny.

— Oto masz dowód — zakończył nauczyciel. A zobaczywszy, że po policzkach Gelsomina płyną łzy, zszedł z katedry, zbliżył się do chłopca i łagodnie pogłaskał go po głowie. — Posłuchaj mnie uważnie, synku. Twój głos może ci przysporzyć wiele zmartwień albo przynieść wielką sławę. Na razie staraj się możliwie rzadko nim się posługiwać. Zresztą milczenie jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

Od tego dnia zaczęły się dla Gelsomina piekielne męczarnie. Na lekcjach siedział z chusteczką przyciśniętą do ust, by nie wywoływać nowych zniszczeń. Ale i przez chusteczkę jego głos grzmiał tak, że inni uczniowie musieli zatykać uszy.

Nauczyciel starał się wyrywać go do

odpowiedzi jak można najrzadziej. Gelsomino jednak uczył się dobrze i nauczyciel był pewny, że wszystkie lekcje odrabia doskonale. (...)

Aby sobie ulżyć, chłopiec szedł gdzieś daleko od osiedli ludzkich, do lasu, w pole albo na brzeg jeziora. Tam, upewniwszy się, że jest sam i że nie widać w pobliżu oszklonych okien, kładł się twarzą do ziemi i śpiewał. W ciągu niewielu minut ziemia zaczynała się ruszać: krety, mrówki, dżdżownice i wszystko, co żyje pod ziemią, umykało, gdzie oczy poniosą, sądząc, że rozpoczęło się trzęsienie ziemi.

Jeden jedyny raz Gelsomino zapomniał o swej zwykłej ostrożności. Zdarzyło się to w niedzielę na stadionie w czasie meczu piłki nożnej. Gelsomino nie był specjalnie zagorzałym kibicem, ale mecz stopniowo rozpalał mu krew. W pewnej chwili miejscowa drużyna, dopingowana wściekłymi okrzykami swoich zwolenników, przeszła do ataku. (...)

— Gola! — krzyknął Gelsomino.

Właśnie w tej samej sekundzie prawoskrzydłowy posłał piłkę na środek ataku. I oto na oczach wszystkich piłka, uniósłszy się w powietrze, w połowie drogi nagle zmieniła kierunek, pchana niewidzialną siłą przemknęła między nogami bramkarza i wpadła do bramki przeciwnika.

— Gol! — krzyknęli widzowie.

— Oto strzał! Widzieliście, jak dokładnie był wymierzony? — chwalono. — Co do jednego milimetra. Ten gracz ma złotą nogę!

Ale Gelsomino, ochłonąwszy, zrozumiał, że popełnił nieostrożność.

„Nie ulega wątpliwości — pomyślał — ja strzeliłem bramkę swoim okrzykiem. Trzeba się wziąć w cugle, bo to przecież sprzeczne z regulaminem sportowym. Teraz muszę zrobić wszystko, aby strzelić gola i do naszej bramki, wtedy będzie w porządku".

Wkrótce nadeszła po temu okazja. Gdy drużyna gości przeszła do ataku, Gelsomino wydał okrzyk i wpędził piłkę do bramki swojej drużyny. Rozumie się samo przez się, że serce ścisnął mu ból. Jeszcze po wielu latach, opowiadając o tym, dodawał:

— Wolałbym sobie palec uciąć, niż strzelić bramkę swoim. Ale inaczej postąpić nie mogłem.

Ktoś inny na jego miejscu zrobiłby prawdopodobnie wszystko, aby pomóc swojej drużynie.

Ktoś inny — tak. Ale nie Gelsomino! Jego uczciwość była kryształowa jak źródlana woda.

I taki pozostał, chociaż rósł i rósł, a wkrótce z chłopca stał się młodzieńcem. Wysoki jednak nie był: raczej mały niż duży i raczej szczupły niż gruby.

*Gianni Rodari*

*(Z książki „Gelsomino w Kraju Kłamczuchów")*

*Przekład i opracowanie Hanny Ożogowskiej*

5 *Rys. Wanda Orlińska*

# Kocia gazeta

Swoje życzenia,
swoje tęsknoty
w "Kociej Gazecie"
drukują koty:

"Chętnie zamieszkam,
ciepło, niedrogo,
w domu bez dzieci.
Mam czuły ogon".

"Z pełną gwarancją,
że rzeźnik blisko,
szuka staruszki
Miłe Kocisko".

"W dobrej mleczarni
chce mieszkać stale
kotek-jaroszek,
stary kawaler".

"Zajmę mieszkanie
w spichrzu, w stodole-
Dzielny Myśliwy
/w stodole wolę/".

Czytają prasę
bezdomne koty
i marzą potem
o tym lub o tym.

Marzenia kotom
też są pomocne.
Z marzeń powstają
koncerty nocne.

Ilustrował
Przemysław Woźniak

# Ośla historia

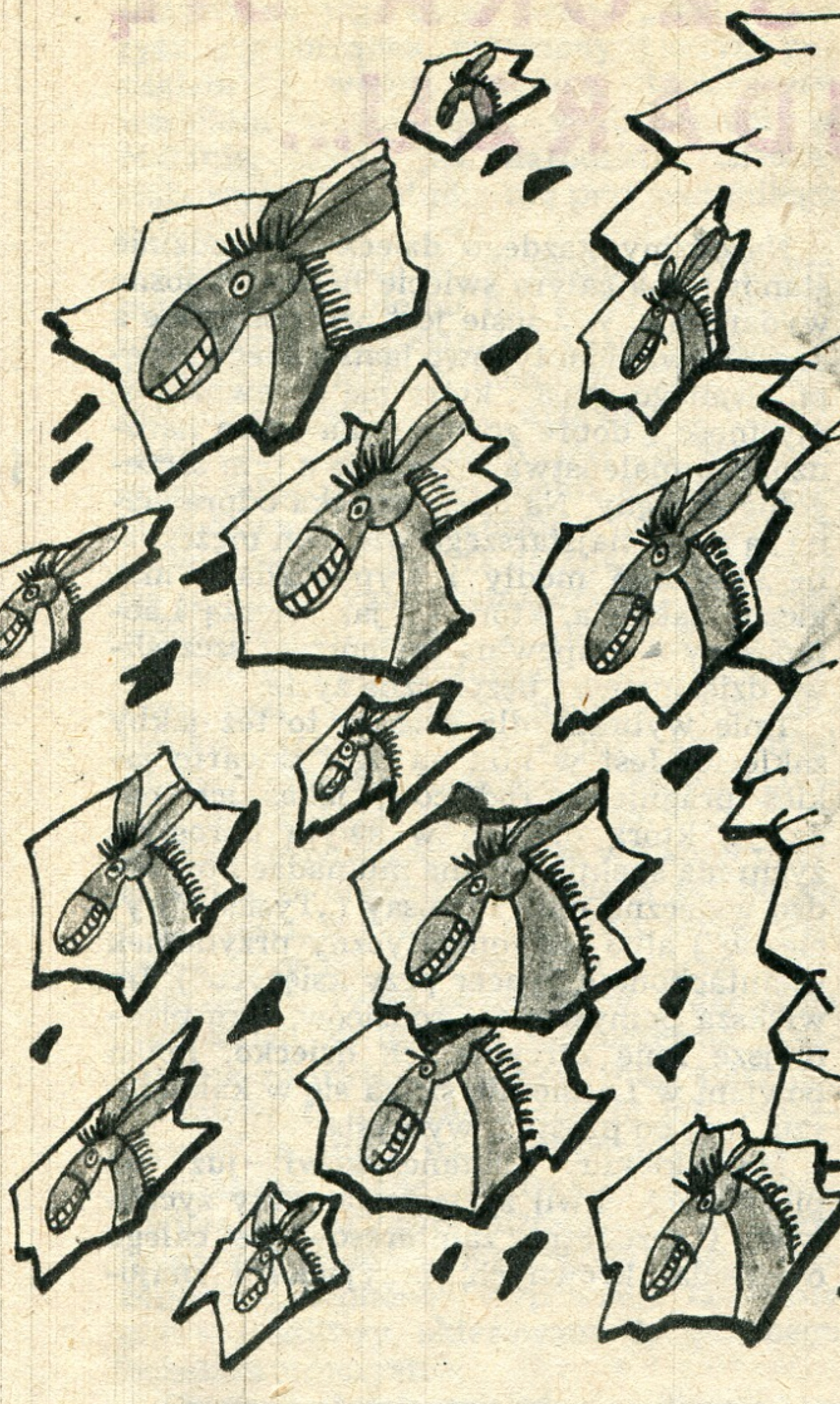

Był sobie pewien osioł,
który... no, jednym słowem,
nie wiedział wcale o tym,
że nosi oślą głowę.
„Kim jestem? — pytał siebie. —
Chyba nie jestem słoniem?
A skoro nie mam grzywy,
nie jestem także koniem.
Owcą?... Nie. Wszak nie beczę.
Na wróbla nie wyglądam.
Więc może adwokatem?
Nie: nie przemawiam w sądach.
A może generałem?
Ministrem? Wielkim panem?
Lusterko! Mów, kim jestem?...
Co? Osłem? Niesłychane!!!
Bezczelność! Ja i osioł!!!
Bezczelność! Tak się starasz
odpłacić mi za przyjaźń?
Ja cię nauczę zaraz!"
To mówiąc trzask! — kopytem,
aż rozbił lustro całe
na sto malutkich kawałków
i jeszcze jeden malutki kawałek.

# Historia o rybie-młocie

Ryba-młot pełna jest rozpaczy,
że ryby-gwoździa nie zobaczy.

Ryby-kowadła, ryby-cegły
także jej oczy nie dostrzegły.

Nie może spytać się nikogo,
gdzie by się spotkać z rybą-nogą.

I nie przyśniło się jej wcale,
żeby stuknęła w rybę-palec.

„Co to za życie! — tak się zwierza. —
Ryba-młot nie ma w co uderzać!

Raz trafił mi się trep dziurawy,
Tłuktam go w nos, ot, dla zabawy...

Lecz trep na wędkę złapał rybak.
Co miałam rzec? »Smacznego!« chyba".

*Gianni Rodari*
*Przełożyła i opracowała*
*Hanna Ożogowska*

# IMION NIE SZUKA SIĘ W KALENDARZU...

*Rodzina laotańska w stolicy kraju Vientiane*

Narodziny każdego dziecka w rodzinie stanowią na całym świecie bardzo radosne wydarzenie. W Laosie jest ono połączone z organizowaniem typowo laotańskiego święta, zwanego „basi", które ma zapewnić pomyślność i dobre zdrowie dla nowo narodzonego maleństwa. Łączą się z tym szczególne obrzędy. Na cześć dziecka odprawiane są przez najstarszego wiekiem mężczyznę specjalne modły i wypowiadane magiczne zaklęcia, które — jak wierzą Laotańczycy — zapewnią maleństwu szczęśliwe dzieciństwo i bezpieczne życie.

Imię wybrane dla dziecka to też jakby zaklęcie. Jest w nim na ogół zawarte jakieś pragnienie rodziców, jakaś ich nadzieja, którą dziecko w swym dorosłym życiu ma spełnić. Można mu nadać np. bardzo waleczne imię Phansay („Tysiąc Zwycięstw") albo też romantyczny przydomek Chantachone („Spacer przy księżycu"). Im większa pomysłowość rodziców, tym piękniejsze imię otrzyma ich dziecko, imion bowiem w Laosie nie szuka się w kalendarzu, lecz po prostu... wymyśla.

Maleńkiemu Laotańczykowi już od pierwszych chwil życia towarzyszy życzliwość i serdeczne zainteresowanie całego otoczenia: krewnych, przyjaciół i znajo-

*Chłopcy laotańscy ze wsi Phonhosy w pobliżu stolicy Laosu — Vientiane. Ten w środku odziany jest w szaty mnicha buddyjskiego, bonzy. Chłopcy z biednych rodzin mogą wstąpić do klasztoru buddyjskiego już w wieku 10 lat*

mych. Już wkrótce po urodzeniu staje się on głównym bohaterem organizowanego właśnie na jego cześć święta „basi". Ten rytualny obrządek, połączony z sutym posiłkiem i wesołą zabawą, towarzyszy wszelkim ważniejszym wydarzeniom w rodzinie, takim jak narodziny dziecka, ślub, wyjazd na studia lub przyjazd miłego gościa...

„Basi" odbywa się w najobszerniejszym pomieszczeniu domu lub zgoła na podwórzu. Wszyscy uczestnicy „basi" siadają na rozłożonych matach bambusowych, wokół pięknie przystrojonego drzewka o nazwie „pakhuan". To drzewo jest najważniejszym rekwizytem ceremonii. Przygotowują je dziewczęta laotańskie z liści bambusa i kwiatów czampy. Dodatkowo przystraja się je kolorowymi wstążeczkami i białymi bawełnianymi nićmi, które potem zawiązywane są na przegubach dłoni uczestników „basi". „Pakhuan" powinien być niezwykle strojny i atrakcyjny, aby mógł zwabić beztrosko hasające po świecie „duchy opiekuńcze". Potrzeba ta wynika z szeroko rozpowszechnionego w Laosie przekonania, że organizm człowieka składa się z 32 części, a każda z nich (np. serce, wątroba, oczy itd.) ma swojego „ducha opiekuńczego". Tylko obecność w organizmie wszystkich 32 duchów jednocześnie gwarantuje zdrowie człowieka. Stąd starania, by duchy te związać z ciałem ich „właściciela", a służą temu wspomniane białe nici zawiązywane w trakcie ceremonii. Podczas „basi" zorganizowanego na cześć nowo narodzonego maleństwa mistrz ceremonii „mophone" wypowiada takie oto słowa modlitwy, skierowane do głównego bohatera uroczystości:

Dzisiaj jest dobry dzień.
Starsi ludzie czekają na twoje
dobre duchy opiekuńcze.
Twoja prawdziwa matka jest w niebie, ale ona ciebie nienawidzi,
dlatego urodziłeś się na ziemi.
Proszę, żeby duch przyszedł.
Twój dobry duch jest w lesie lub
na polu, lub nad wodą.
Proszę, żeby dzisiaj przyszedł.
I żeby złe duchy „phi" oddaliły
się od ciebie.

Duchy „phi" są złymi bóstwami, w których mocy pozostaje dziecko od chwili urodzenia aż do odprawienia nad nim odpowiednich modłów. Po modlitwie nad dzieckiem wypowiadane są życzenia, kierowane do pozostałych członków rodziny nowo narodzonego dziecka, a w końcu do wszystkich uczestników „basi", przy czym

*Mali Laotańczycy*

składa się je na zasadzie — każdy każdemu — zawiązując przy tym sobie wzajemnie owe wspomniane nici. Po tej jakby części oficjalnej przychodzi czas na rozrywkę: goście jedzą, popijają i tańczą — oczywiście tradycyjny laotański taniec „lamvong".

Przez wiele jeszcze godzin trwa radosna zabawa, przeplatana pełnymi życzliwości i nadziei życzeniami dla najmłodszego członka rodziny. A kiedy goście się rozejdą, maleństwo znów zajmuje swoje miejsce w zawieszonej na sznurach u powały kołysce-niecce, wydrążonej z pnia drzewa. Każdy z domowników przechodząc obok dotyka jej lekko dłonią, co wprawia kołyskę w ruch wahadłowy.

A potem kilkumiesięczny malec jedynie w samej koszulinie — bez pieluszki czy śpioszków — przechodzi pod opiekę niewiele starszego rodzeństwa. W Laosie nie są znane wózki dla niemowląt, toteż dzieci na spacerze nosi się po prostu na rękach albo sadza okrakiem na biodrze. Aż do czasu, kiedy maleństwo dorośnie na tyle, żeby samo mogło przejąć drobne obowiązki wobec rodziców i młodszego rodzeństwa.

*Tekst i zdjęcia: Wanda Samborska*

# NASI AUTORZY

## Zdzisław Podbielski

Płomyczek:

— *Przejrzałam wiele roczników „Płomyczka", żeby zorientować się, od kiedy współpracuje Pan z nami, i tak na stałe „znalazłam Pana" w 1969 roku.*

**Zdzisław Podbielski:**

**— Pierwszy artykuł, jaki napisałem dla „Płomyczka", nazywał się „Pojazdy wojskowe" i ukazał się w 1968 r.**

*Panie Zdzisławie Podbielski!*

*Mam do Pana prośbę, bo mi się bardzo podobają Pana fotografie różnych samochodów. Interesuję się samochodami i w przyszłości marzę sobie, żeby zostać kierowcą albo mechanikiem samochodowym. Czy by mi Pan mógł przysłać albo pokazać w „Płomyczku" te, które wymienię: Star 266, Star 244, Jelcz 574 Ż, Jelcz 316, Kamaz, Robur, Tatra, Wołga, Star 1142 i autobusy: San, Sanos, Autosan, Mercedes i Jelcz miejski?*

*Piotr z kl. III b*

— *Jaką drogą trafił Pan do naszego czasopisma?*

**— Już cztery lata wcześniej rozpocząłem współpracę z „Młodym Technikiem". Tam też spotkał mnie wasz wieloletni redaktor naczelny, Stanisław Aleksandrzak i zaproponował, żebym spróbował napisać coś o samochodach dla „Płomyczka". Zgodziłem się, i tak się zaczęło.**

*Drogi Płomyczku*

*Bardzo mi się podobały w nrze 1 zdjęcia starodawnych samochodów. Bardzo interesują mnie takie okazy. Bo patrząc na ilustracje wykonuję rekonstrukcje danego typu.*

*Jacek z Borowiny*

— *Czy miało to coś wspólnego z pańską pracą zawodową?*

**— Oczywiście. Pracowałem wówczas jako inżynier badań w Biurze Konstrukcyjno-Badawczym Przemysłu Motoryzacyjnego. Zresztą „w motoryzacji" pracuję do dziś.**

— *Co Pan tam robił?*

**— Prowadziłem badania samochodów osobowych i ciężarowych — polskich i zagranicznych różnych typów dla celów porównawczych.**

**Polegały one na sprawdzaniu wytrzymałości karoserii, podwozia, silników... Prowadziło się je na szosie lub na poligonie w najtrudniejszych warunkach, w strugach deszczu, w kurzu. Żeby wszechstronnie zbadać samochód, jeździło się nim w sposób niedopuszczalny przy normalnej eksploatacji. Badania na obciążenie polegały np. na załadowaniu pojazdu workami ze śrutem...**

— *Jakie samochody badało się wtedy?*

**— Testowało się takie samochody, jak Toyoty, Renaulty, Mazdy, Volkswageny, BMW i wiele odmian Fiatów. A także ciężarowe: Saurer, Magirus, Henschel, Tatra, FAP i wiele innych. Wszystkie samochody polskie przed wprowadzeniem do produkcji przechodziły przez nasze ręce i były przez nas oceniane.**

— *To chyba bardzo ciekawa praca?*

**— O, tak! Można ją porównać do pracy oblatywaczy samolotów i wyczynów kaskaderów. Obowiązkowy był w niej kask, który chronił prowadzących badania — a było nas wówczas w Polsce niewielu — przed urazami w razie wypadków, których czasem trudno było uniknąć.**

*Jeden z najoryginalniejszych samochodów świata — Morris 1100 skonstruownay został w 1962 roku, miał koła jezdne zawieszone za pomocą gumowych „gruszek" wypełnionych specjalnym płynem*

*— Co ciekawego robił Pan jeszcze?*

**— Czytelników „Płomyczka" zainteresować może ten okres mojej pracy, kiedy to z „Polmo-Serwisem" jeździłem za granicę oferując polskie samochody i naprawiając je w razie awarii. Były to m. in. „Stary 660" z zabudową warsztatową, tzn. znajdowała się w nich m. in. spawarka, wiertarka, wytwornica prądu... Jeździło się wówczas do takich krajów, jak Irak, Turcja, Grecja, Jugosławia i Związek Radziecki.**

*— Te swoje doświadczenia wykorzystał Pan z pewnością pisząc artykuły do różnych pism...*

**— Napisałem ich dotąd ok. 2 tys. Do „Motoru", z którym dawniej stale współpracowałem, do „Płomyczka", „Młodego Technika', „Motoryzacji" i innych...**

*— Z jakim pismem czuje się Pan najbardziej związany?*

**— Najbardziej? Emocjonalnie z „Młodym Technikiem". Chyba dzięki jego byłemu redaktorowi naczelnemu Zbigniewowi Przyrowskiemu. Jemu, tak jak i red. Aleksandrzakowi zawdzięczam bardzo wiele. To oni namówili mnie do publikowania artykułów dla dzieci i młodzieży.**

*— Entuzjaści motoryzacji znają z pewnością Pana książki...*

**— Pierwsza ukazała się w 1964 r. Był to „Słownik motoryzacyjny — znormalizowane pojęcia i określenia".**

**Przez dwadzieścia lat, które minęły od tamtego czasu, napisałem 9 książek. Zresztą dalej piszę. Aktualnie pracuję nad serią dla Wydawnictw Komunikacji i Łączności ogólnie zatytułowaną „Poznajemy samochody osobowe świata". Opisuję w niej kolejno pojazdy włoskie, francuskie, zachodnioniemieckie, radzieckie itd.**

*— A co ukaże się niedługo?*

**— W tym roku powinna wyjść książka „W fabryce samochodów". Zainteresowa-**

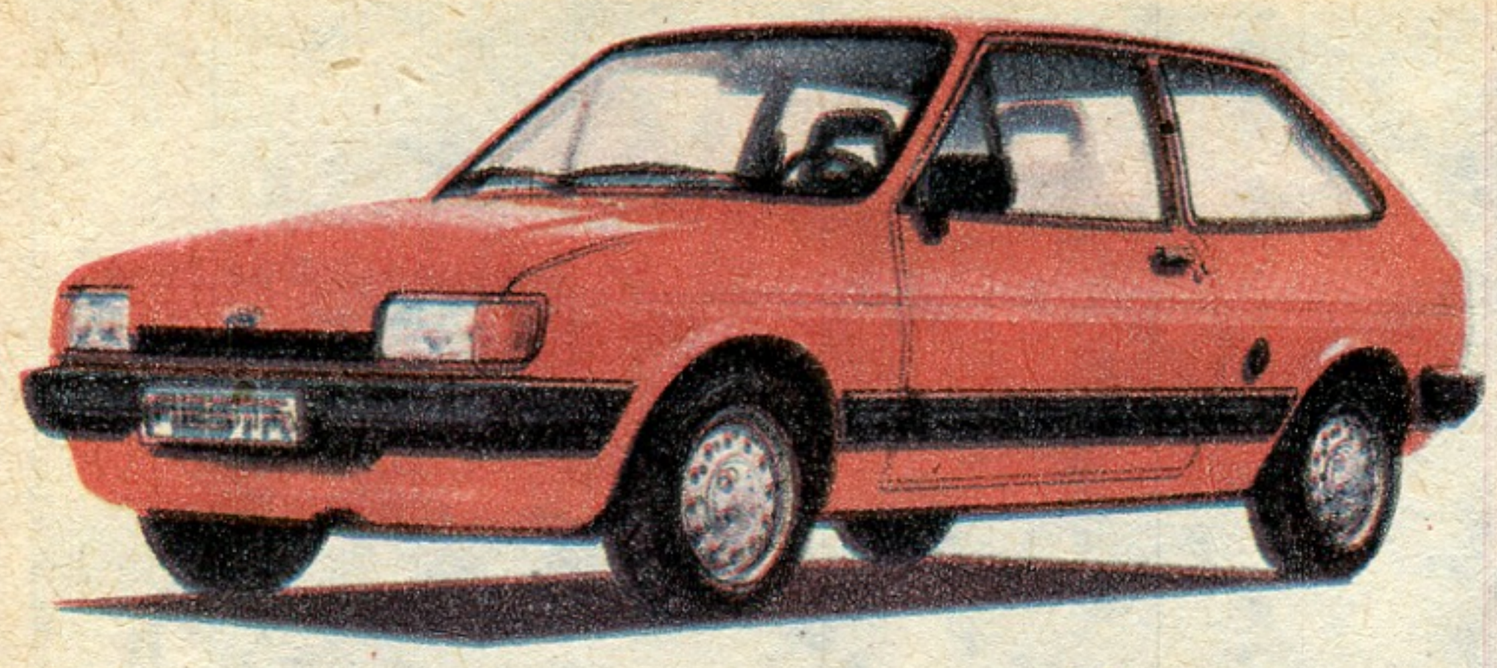

*Nowoczesny, mały i bardzo ładny Ford Fiesta jest najoszczędniejszym seryjnie wytwarzanym samochodem świata. Wyposażony w silnik Diesla zużywa przy prędkości 90 km/godz. zaledwie 3,8 l paliwa na 100 km.*

**nym zdradzę, że mogą z niej poznać cały proces powstawania samochodu — od rysunku konstruktora, przez badania do zejścia sprawnego pojazdu z taśmy montażowej. W przygotowaniu jest album „Samochody ciężarowe, specjalne i autobusy". Zawierać będzie historię największych samochodów różnych marek i opisy ich konstrukcji.**

*— Nasi czytelnicy chcieliby z pewnością wiedzieć, czy ma Pan samochód i jaki.*

**— Mam Fiata 126p i on mi wystarcza. Zresztą lubię małe samochody. Wiem, że trudno jest opracować mały i ekonomiczny, a zarazem wygodny samochód. Dlatego podobały mi się dawniej angielskie Morrisy Mini, francuskie Citroëny 2CV i Dyane, a obecnie Ford Fiesta.**

*— Ma Pan do czynienia z samochodami na co dzień i od święta. Czy nie zbrzydły Panu?*

**— Przyznam szczerze, że trochę tak. Ale podziwiam je. Są przecież jednym z największych osiągnięć myśli ludzkiej. Nie ma chyba drugiej tak posłusznej człowiekowi maszyny.**

*Moja kochana Redakcjo, piszę tak do Was, ponieważ lubię samochody, które nam pokazujecie. Prosiłbym Was, abyście pokazywali je w każdym numerze Płomyczka. Prosiłbym też, abyście pokazywali ciekawsze samochody, albo przyślijcie mi ich zdjęcia z opisem.*

*Zbyszek z Zielęcic*

*— Ma Pan dwóch synów, czy któryś z nich idzie w Pana ślady i interesuje się motoryzacją?*

**— Starszy syn, Krzysztof, uczy się w technikum samochodowym i interesuje się tym, co robi. Do kilku artykułów z cyklu „100 lat samochodu" — w 4, 6 i 10 numerze „Płomyczka" — przygotował rysunki. A młodszy? Jarek czyta moje artykuły i ogląda fotografie samochodów w waszym piśmie.**

*— Dziękuję Panu za rozmowę.*

Rozmawiała Maria Czernik

*Chłopcy z zainteresowaniem oglądają najnowszy samochód marki Citroën. Pojazd ten oznaczony roboczo SA-109 przechodzi obecnie badania — wykonywane są próbne jazdy. Jest mały, ma 3,5 m długości, może wygodnie przewozić 4 osoby. Jest bardzo lekki — ma masę własną zaledwie 480 kg i zużywa mało paliwa — nie więcej niż 3,5 l na 100 km.*

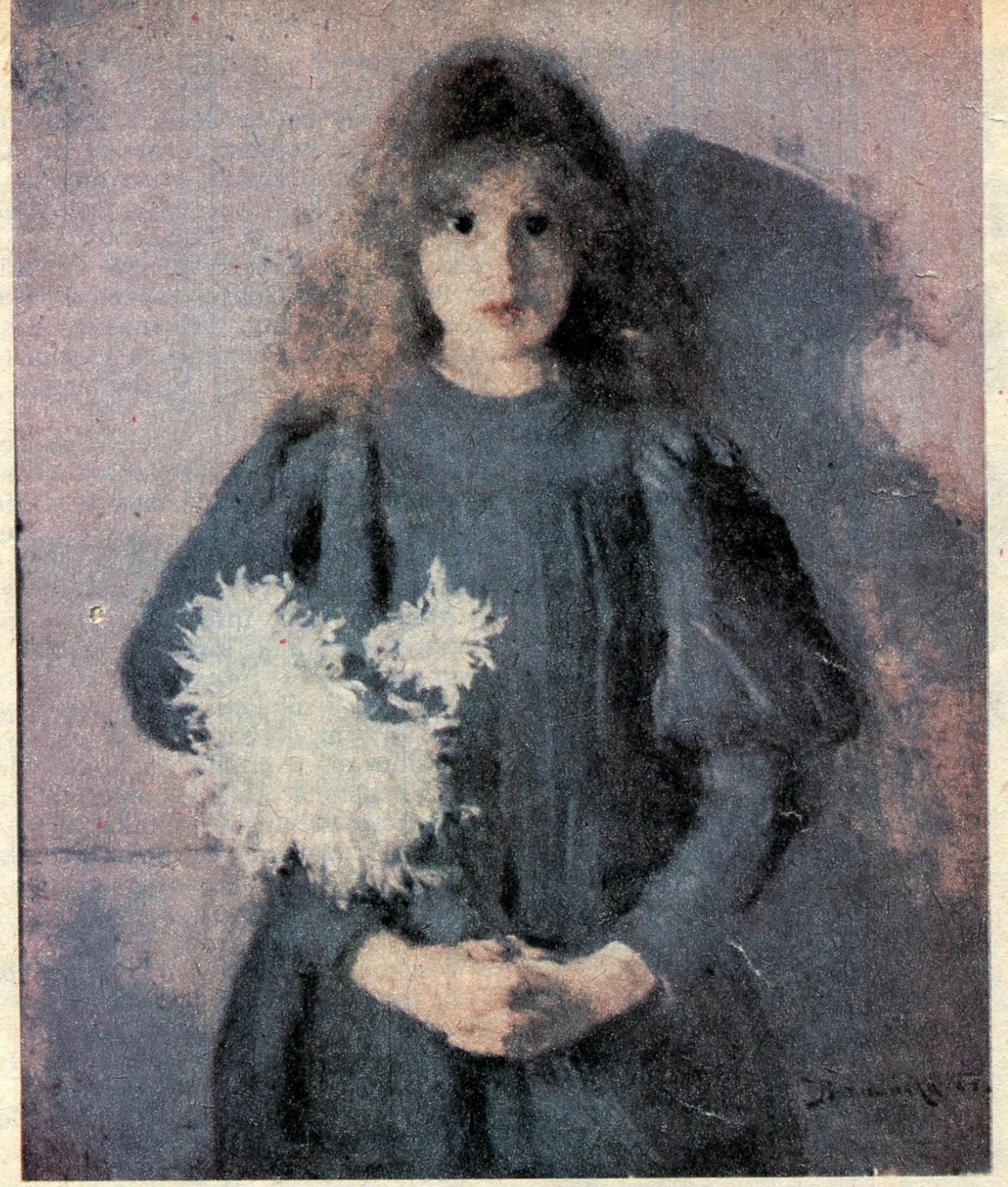

# NASZA GALERIA

**Polska malarka OLGA BOZNAŃSKA żyła na przełomie XIX i XX wieku. Jej miastem rodzinnym był Kraków, lecz studia malarskie odbyła w Monachium, a większą część życia spędziła w Paryżu. Nie należała do żadnego ugrupowania artystycznego, była wielką indywidualistką. Malowała głównie portrety pełne psychologicznej głębi, delikatne w nastroju. Malarstwo Boznańskiej to impresjonistyczne, jasne w tonacji obrazy. Artystkę cechowała duża wrażliwość na kolor. Oprócz portretów malowała często martwe natury i kwiaty.**

**Boznańska swoje życie poświęciła bez reszty malarstwu. Pozostawiła wiele doskonałych dzieł malarskich, które uzyskały medale i wyróżnienia na wystawach w Paryżu, Brukseli, Monachium.**

**Portret dziewczynki z chryzantemami namalowany został w 1894 r. i znajduje się w Muzeum Narodowym w Krakowie.**

*Janina Datko*

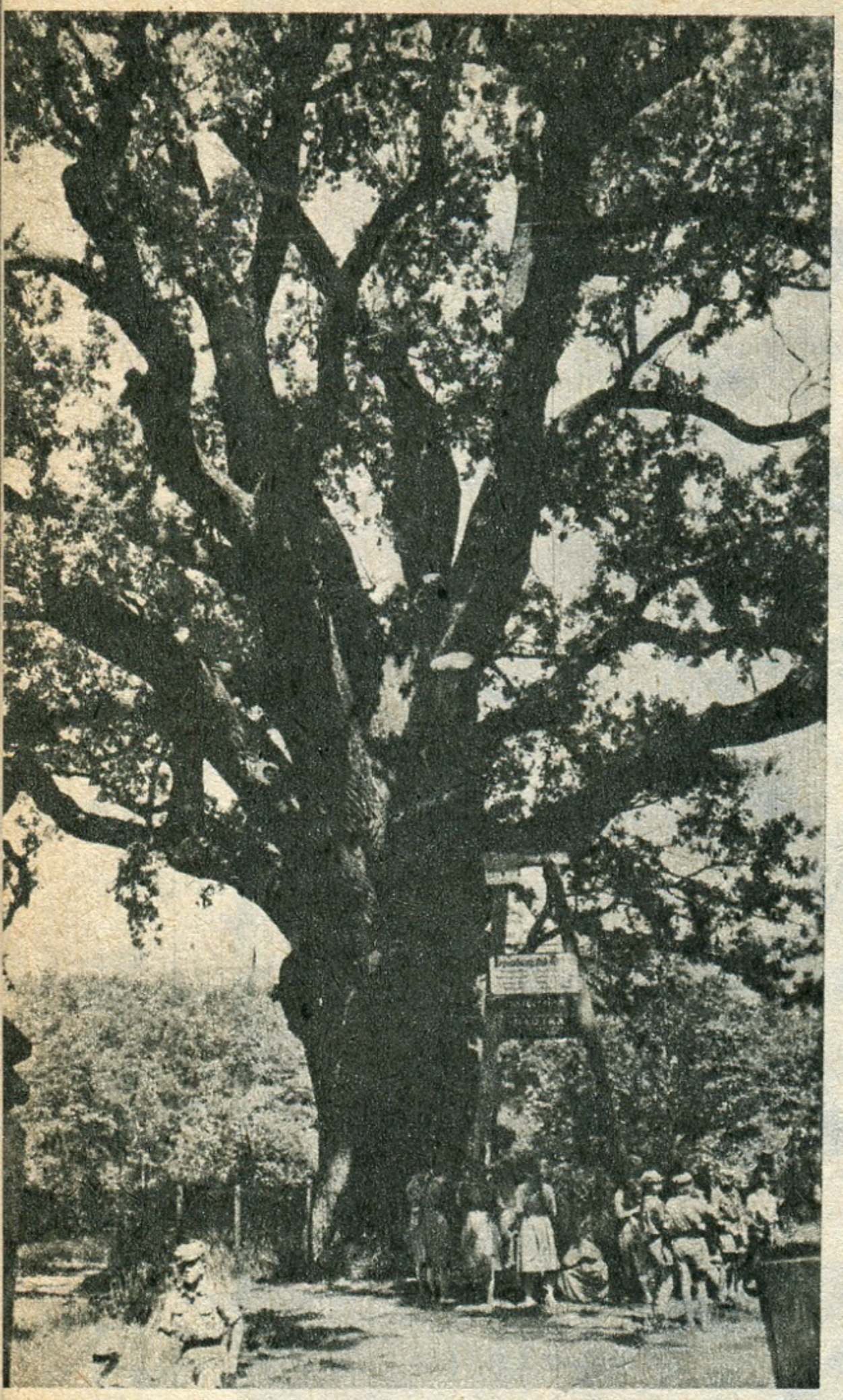

# POMNIKI PRZYRODY

W Polsce jest ich przeszło 12,5 tysiąca. Co może być pomnikiem przyrody? Najczęściej są to wiekowe drzewa, albo całe aleje pozostałe po starych parkach, mogą to być głazy-olbrzymy, które przywędrowały na nasze ziemie razem z lodowcem, mogą to być także jaskinie. Chroni się je dlatego, żeby przypominały, jak kiedyś wyglądała bujna przyroda, jakie rozmiary mogą mieć dąb, lipa, cis, buk, topola, jakie olbrzymy niósł kiedyś lodowiec.

Czy łatwo je rozpoznać? Jak je odnaleźć w lesie czy w parku? Pomniki przyrody żywej oznaczone są zieloną tabliczką z napisem i godłem państwowym. Głazy i jaskinie tabliczkami czerwonymi. Sławnych pomników przyrody jest wiele, np. dąb „Bartek" w Samsonowie, „Bracia Leśni", czyli zrośnięty dąb z bukiem w w Redzie koło Gdyni, „Diabelski Kamień" koło Kościerzyny, kilkanaście dębów w Rogalinie koło Poznania. Ich imiona wiążą się często z jakimś wydarzeniem historycznym lub z legendami.

Czy wiecie, gdzie w pobliżu waszego domu lub szkoły, w waszej miejscowości lub niedalekim parku czy lesie są jakieś pomniki przyrody? Czy mają tabliczkę, o jakich mówiliśmy wcześniej? A może oprócz takiego oznakowania przydałoby się coś więcej, np. opis, informacja o rozmiarach takiego pomnika (drzewa, głazu), pełna jego nazwa itp.

Niedawno miałem okazję zobaczyć, jak łatwo można zniszczyć coś pięknego i... chronionego. Pomimo że była widoczna na nim zielona tabliczka, operator koparki nie uszanował tego pomnika przyrody — wiekowej topoli, kiedy kopał głęboki rów: powyrywał korzenie, odarł pień z kory. Kierowca tej maszyny albo nie wiedział co to jest pomnik przyrody, albo...

Właśnie, co sądzicie o tym przypadku? Jeśli znacie podobne, napiszcie do nas. Napiszcie też, jakie pomniki przyrody są w pobliżu waszego miejsca zamieszkania i jak są oznaczone.

*Tomasz Kowalik*

*Na zdjęciu: wiekowy dąb Bartek*

## 5 Czerwca Swiatowy Dzień Ochrony Srodowiska

# ZADATEK NA CHLEB

Tegoroczna zima była sroga nie tylko dla ludzi i zwierząt. Dokuczyła również wielu zasiewom żyta i pszenicy. Nie osłonięte śniegiem przewiał wiatr i przemarzły.

Dla wielu z nich niełaskawy był także początek wiosny. W niektórych wsiach dusiły się pod stojącymi na polach kałużami wody.

Rolnicy, zawsze wrażliwi na potrzeby wszystkiego, co uprawiają, spieszyli im z pomocą. Odprowadzali wodę z pól do rzek i rowów odwadniających. A najsłabsze rośliny dokarmiali, wzmacniali nawozami azotowymi.

Jednocześnie obsiewali swoje grunty zbożami jarymi (sianymi na wiosnę): pszenicą, jęczmieniem, owsem. Oczywiście, najpierw odpowiednio przygotowali ziemię. Orali, spulchniali i nawozili potasem i fosforem. Musieli zadbać zresztą nie tylko o zboża, lecz i o inne uprawy. O ziemniaki, o warzywa...

Obecnie — w czerwcu — muszą nadal pielęgnować zasiewy. Głównie przez usuwanie chwastów i spulchnianie gleby. Odbywa się to, w zależności od wielkości gospodarstwa, za pomocą obsypników, ciągniętych przez konie lub traktory, albo radłami lub motykami.

Rzeczą najważniejszą na wiosnę (nie tylko dla niezmordowanych, wstydzących się bezczynności, chłopskich dłoni) jest otoczenie rosnących zbóż właściwymi staraniami, by pięknie dojrzały do żniw. W tym długotrwałym, pielęgnacyjnym trudzie rolników jest zadatek na przyszły chleb.

Obfitość i dostatek tego przyszłego chleba zależy także trochę i od nas... Na przykład — od naszej uwagi, aby podczas wycieczki nie zadeptać na polu ani jednej roślinki.

*Stanisław Ozonek*

*Rys. Zdzisław Byczek*

# DAJCIE DZIECIOM SŁOŃCE

*(fragment)*

Kiedy dziecko płacze — płacze cały świat.
Kot ma oczy pełne łez,
na podwórku płacze pies,
wiatr w kominie, mysz pod miotłą,
świerszcz na łące.
O jak słono od tych łez,
nawet cukier słony jest,
o jak ciemno, o jak zimno —
gdzie jest słońce?

Dajcie dzieciom słońce,
żeby łez nie było,
dajcie dzieciom słońce,
dajcie dzieciom miłość.
Dajcie dzieciom słońce,
całe słońce z nieba,
żeby mogły tańczyć,
żeby mogły śpiewać!

*Wanda Chotomska*

# MALEŃKI SYNEK ŚPI...

*(fragment)*

Maleńki synek śpi
i nie wie, że tuż za nim
toczy się grzmot otchłani
przeszłych i przyszłych dni.

Jeszcze jest niby muszla,
z głębiny mórz wyjęta,
różana i wygięta,
o prześwietlonych uszkach.

Jeszcze jest cały z ciszy
i z mleka, i z jutrzenki.
Jak nietutejszy słyszy
stuk kroków, mowy dźwięki...

*Mieczysław Jastrun*

*Rys. Wanda Orlińska*

# ŻYCZENIA

Żeby nie było dzieci głodnych,
Żeby nie było smutnych, chorych.
Żeby się wszystkim powodziło
I żeby każdy był szczęśliwy.

Żeby rozmowa była wiosną,
Żeby chodzenie było świętem.
By wszystkie słowa były mądre
I wszystkie myśli były piękne.

*Bogdan Chorążuk*

# Tańczący słoń

5

Kiedy nieznajomy oddalił się szybko i minął idących przed nim ludzi, Zulejka zacięła wargi, i tupiąc w bezsilnym gniewie, natarła na Bartka:

— Ty mięczaku, zachowujesz się jak ostatni niedołęga.

Bartka zamurowało, a gdy odzyskał zdolność mówienia, wyszeptał:

— A co miałem robić?

— Jeszcze pytasz? Jesteś detektywem czy nie?

— Jestem.

— To dlaczego nie stanąłeś w mojej obronie? Było nas dwoje, a on jeden.

— Zulejka, zastanów się, przecież to oficer milicji.

Dziewczyna pokraśniała, rzuciła mu gniewne spojrzenie.

— Znikaj mi z oczu. Nie chcę cię widzieć i nie przychodź do mnie.

— Zulejka — próbował ją udobruchać — przecież chciałem jak najlepiej.

— Nie usprawiedliwiaj się. Znajdę sobie innego sierżanta.

Chłopiec patrzył chwilę z niedowierzaniem, lecz gdy z jej twarzy nie zniknął wyraz gniewu, powiedział podniesionym głosem:

— Myślisz, że jesteś super, naj... naj...? Dobrze, idę sobie, ale nie staraj się mnie przebłagać. Zobaczymy, kto na tym lepiej wyjdzie.

Tupnęła siarczyście, aż zatrzeszczały deski pomostu.

— Zjeżdżaj, bo cię przegonię.

Tego było już za wiele nawet dla Bartka, najwierniejszego towarzysza zabaw dziewczyny. Zadarł dumnie głowę, spojrzał pogardliwie i odszedł niemal dostojnie, lecz kiedy uszedł kilka kroków, ogarnął go żal, że tak niefortunnie i niespodziewanie zakończyła się ich przyjaźń i rozpoczęta zabawa.

— Zabawa? — pomyślał po chwili i gestem ręki zaprzeczył sobie. — To już przestało być zabawą. Zaplątali się w jakąś niezwykłą historię, która mogła okazać się poważniejsza, niż przypuszczali. — Bo — ciągnął myśl — wszystko się skomplikowało. Myśleli, że człowiek z fajką na widok tańczącego słonia wywoła awanturę, a on tymczasem udał, że nie ma z nim nic wspólnego. Nigdy nie przypuszczali, żeby ktoś inny prócz ich trojga zajmował się tą zagadkową sprawą ze słoniem, a tu nagle zjawia się tajemniczy facet i ni stąd, ni zowąd odbiera im cenny skarb. Wszystko wskazywało na to, że figurka jest pusta. Dlaczego więc spowodowała łańcuch nieoczekiwanych zdarzeń i stała się przyczyną niezrozumiałych powikłań? Jedno jest pewne: najpierw trzeba sprawdzić, czy mężczyzna w pasiastej koszulce jest oficerem milicji, a następnie dowiedzieć się, kim jest człowiek z fajką.

Bartek z wolna odzyskiwał równowagę ducha. Poczekaj ty, przemądrzalska — odgrażał się w myśli. — Dowiodę ci, że nie jestem takim mięczakiem, jak myślisz. Jeszcze będziesz mnie prosiła, żebym dał się przebłagać. To fakt — przyznawał — że zachowałem się niezbyt dzielnie, ale to jeszcze nie powód, by mnie zmieszać z błotem i odsądzić od czci i wiary. O, właśnie, trzeba uczynić coś takiego, by odzyskać wiarę w siebie.

— By odzyskać wiarę w siebie — powtórzył półgłosem. A potem... — Urwał swą myśl, gdyż na skwerze, odgradzającym jezioro od ulicy ciągnącej się wśród wysokopiennych sosen, spostrzegł dżentelmena z fajką. Szedł spacerowym krokiem, w ręce trzymał książkę, a kiedy przystawał, unosił książkę do oczu i czytał. W tej sytuacji śledzenie go nie nastręczało trudności.

Chłopiec sunął za nim w odległości kilkunastu kroków. Ze wzrastającym napię-

ciem przyglądał się jego nieco dziwnemu zachowaniu. Gdy minęli skwer, Fajczarz skręcił na leśną ścieżkę, prowadzącą do Białej Góry. Była to willowa dzielnica pobudowana na łagodnym skłonie obłego wzniesienia z piaszczystymi wydmami i karłowatą sośniną.

Bartek pozwolił mu oddalić się, a potem zboczył w zarośla, skąd mógł doskonale oglądać teren. Kiedy zbliżyli się do zabudowań, nagle wśród gałęzi dał się słyszeć krzykliwy głos ptaka. Fajczarz zatrzymał się, błądząc wzrokiem wśród zarośli. Wtem w kępie leszczyny ukazał się ptak. Bartek nigdy takiego nie widział, przyjrzał mu się uważniej. Był to okaz wielkości kawki, nieco smuklejszy od niej, lecz wspaniale ubarwiony. Skrzydła miał jaskrawoniebieskie, a brzuch ceglasty. Chłopiec, urzeczony jego widokiem, stracił z oczu Fajczarza. Wnet jednak ujrzał go po drugiej stronie leszczynowych krzaków. Stał chwilę, zachwycony pięknym zjawiskiem, a gdy ptak odleciał, Fajczarz zajrzał do książki. Bartek domyślił się, że jest to atlas ptaków.

— Ornitolog z Koziej Wólki — wyszeptał sarkastycznie.

Tamten zamknął książkę i, włożywszy ją pod pachę, ruszył sprężystym krokiem w stronę zabudowań. Zniknął na chwilę za gęstym żywopłotem, lecz gdy chłopiec podbiegł do rogu uliczki, zobaczył go, jak wchodził przez furtkę do ogrodu, w którym widniał dach pokryty czerwoną dachówką.

— Teraz mi nie uciekniesz — szepnął triumfalnie. Gdy zbliżył się do furtki, na ścianie domu ujrzał niewielką tabliczkę z napisem: „Smaczne obiady domowe".

Sierżant służby śledczej sunął wolnym krokiem wzdłuż żywopłotu. Nagle zatrzymał się. Z następnej przecznicy, jak duch z oparów, wyłonił się oficer milicji. Przebrał się do obiadu. Paradował teraz w welwetowych dżinsach i w niebieskiej koszuli safari. Chłopiec poznał go po złamanym nosie i łysinie nad czołem. Bojąc się spotkania, zawrócił, przeszedł na drugą stronę ulicy i skręcił w wąskie przejście między dwoma płotami. Gdy stwierdził, że jest dobrze osłonięty, wychylił się i ze zdumieniem spostrzegł, że oficer wchodzi do tego samego domu.

— Mam was! — wyszeptał. — Teraz już mi się nie wymkniecie. Pięknie to sobie ułożyli — jeden ornitolog, a drugi oficer milicji, a w istocie na pewno dwa przestępcze typy.

A potem pomyślał:

— No, Zulejko, oko ci zbieleje, gdy się dowiesz, jakie twój sierżant poczynił odkrycia.

* * *

Spojrzał na zegarek. Od chwili, gdy oficer milicji wszedł do domu, minęło już pół godziny.

Oni chyba jedzą kotlety ze słonia — pomyślał zniecierpliwiony. Zapomniał zapewne, że pierwszą zaletą dobrego detektywa jest cierpliwość. Ale jak tu być cierpliwym, skoro dwaj osobnicy są zapewne przy deserze, a jemu z głodu zaczęło burczeć w brzuchu. Lecz czego nie robi się dla sprawy.

Nic dziwnego — pocieszył się. — Pewno mają sobie dużo do opowiedzenia. Zwłaszcza o tej niepozornej figurce z porcelany.

Zastanowił się, czy może być drugie wyjście po przeciwnej stronie ogrodu. Dla uspokojenia się postanowił to sprawdzić, a gdy stwierdził, że wzdłuż ogrodu ciągnie się wysoki płot, postanowił wrócić na poprzedni punkt obserwacyjny.

Kiedy był już blisko poprzedniego miejsca obserwacji, w furtce zobaczył wychodzącego Fajczarza. Rozczarował się nieco, gdyż Fajczarz wyszedł bez oficera.

Znamy się na tym. Zwykły kamuflaż dla naiwnych — pomyślał, zawracając i przezornie kryjąc się za drzewami.

Fajczarz szedł żwawo. Pogwizdywał jakiś fragment piosenki, a gdy doszedł do wylotu ulicy, skręcił i leśną ścieżką zaczął się wspinać na wzniesienie. Bartek ruszył ostrożnie jak dobry łowczy pies za upatrzoną zwierzyną. Szli tak może dziesięć, może trochę więcej minut, aż ścieżka skończyła się, a wśród lasu, na zacisznej polanie ukazał się drewniany, bardzo skromny, lecz przytulny domek. Fajczarz zatrzymał się przed drzwiami, z kieszeni wyjął klucze i chwilę marudził z otwieraniem zamka, a właściwie zamków, gdyż było ich trzy, a każdy innego systemu.

Dobrze się zaszył, przyjemniaczek — pomyślał chłopiec, kryjąc się w kępie kalin, a kiedy Fajczarz wszedł do domu, przyjrzał się uważniej całej posiadłości.

Dom, otoczony nieregularnymi rzędami kwietników i pięknymi kępami ozdobnych krzewów stał w starym lesie. Był niski, zbudowany z grubych bali, a dach miał z gontów. Wyglądał schludnie i bardzo nastrojowo.

Gdy stwierdził, że w dwu oknach zasłoniętych firankami nikt się nie pokazuje, szerokim łukiem okrążył zabudowanie. Z drugiej strony dom wyglądał okazalej, miał oszkloną werandę, a nad werandą połyskiwało w słońcu małe okienko poddasza. Okna, zwrócone ku piaszczystym wydmom, były szeroko otwarte. Z ocienionego wnętrza jednego z pokoi dochodziła wciąż ta sama fraza gwizdanego refrenu piosenki.

— Gwiżdż sobie, gwiżdż — rezonował Bartek. — Ale uważaj, brachu, żebyś w końcu nie płakał.

Fajczarz wcale nie miał zamiaru smucić się. Był w znakomitym nastroju. Kiedy wyszedł z werandy, taszcząc za sobą leżak, pogwizdywał jeszcze głośniej i weselej. Odległość między domem a zacisznym zakątkiem ogrodu przebył podskakując śmiesznie co trzeci krok, a gdy rozłożył leżak i rozciągnął się na nim wygodnie, nasunął daszek czapki na oczy, podłożył pod głowę zgięte ramię i oddał się z rozkoszą poobiedniej sjeście.

Detektyw na to tylko czekał. W jego skołatanej głowie zrodził się zuchwały plan.

— Poczekaj, Zulejko — myślał z satysfakcją. — Teraz ja cię zakasuję. Nie będziesz już lędzić, że jestem mięczakiem i ostatnim fajtłapą. Pokażę ci, jak powinien pracować prawdziwy wywiadowca.

Z napiętą uwagą obserwował aferzystę, a kiedy spostrzegł, że jego brzuch w sennym rytmie miarowo wznosi się i opada, a ręka bezwładnie zsunęła się na trawnik, zaczął działać.

Posesja była nie ogrodzona, a więc z łatwością zbliżył się do domu i z ukrycia jeszcze raz ocenił sytuację. Zdało mu się, że dokoła wszystko usypia w rozkosznym cieple letniego popołudnia. Tylko on bacznie stoi na posterunku. W myśli odmierzył odległość od krzaków do parapetu okna. Było może piętnaście kroków. Zebrał się w sobie i kilkoma susami dopadł do okna, potem jednym skokiem wspiął się na parapet i z rozpędem przewinął się do wnętrza. Nie przewidział tylko jednego: że pod oknem stał wielki słój, pełen malinowego soku. Padając, zahaczył o ten słój nogą. Odgłos upadającego z rumorem słoja przyprawił go o omdlenie, a gdy się ocknął, stwierdził, że leży w lepkiej kałuży, a obok niego łaciaty kot zlizuje z podłogi słodki syrop.

Czekał, kiedy w oknie zjawi się Fajczarz. Myśl o tym paraliżowała mu ruchy. Chciał się podnieść, lecz gdy tylko się poruszył, kot skoczył na zasłane różnymi książkami i papierami biurko. Przemasze-

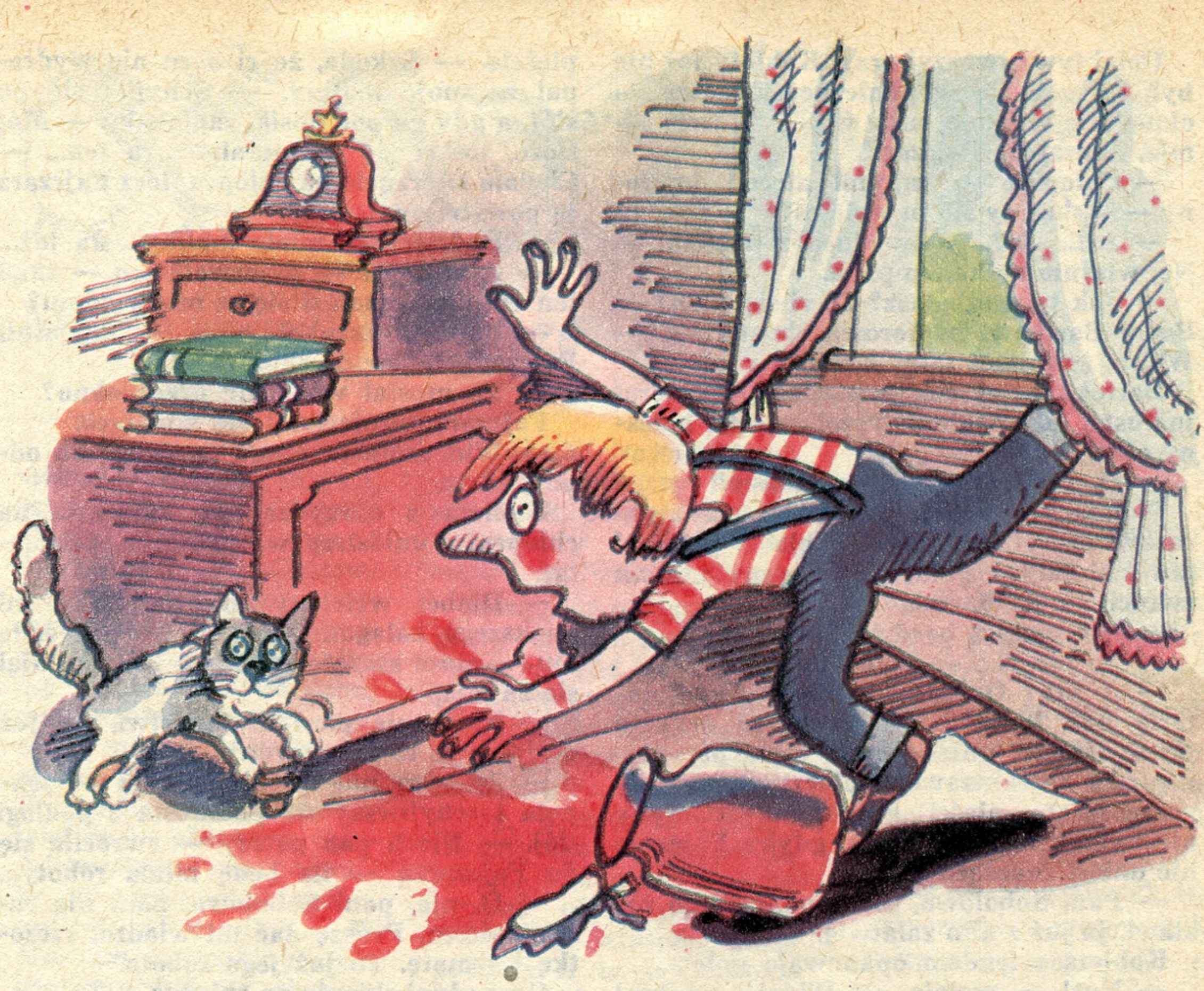

rował przez nie, zostawiając wszędzie ślady łap.

Po chwili Bartek za drzwiami usłyszał czyjeś kroki. Chciał zerwać się, uciekać przez okno, lecz strach odjął mu zdolność poruszania się i pozbawił możności myślenia. Leżał w gęstym soku i bezmyślnie czekał, kto pierwszy go złapie: Fajczarz czy ten ktoś, kto zbliżał się do drzwi. Po chwili za drzwiami usłyszał pukanie, a potem kobiecy głos:

— Panie Henryku, czy pan jest u siebie?

Z drżeniem oczekiwał, kiedy kobieta otworzy drzwi i na jego widok podniesie krzyk. Na szczęście głos kobiety zamilkł. Widocznie cofnęła się do przedpokoju albo weszła do przeciwległej izby.

Odetchnął z ulgą. Starał się opanować rozbiegane myśli, lecz tok zdarzeń okazał się dlań bezlitosny, bo nagle kot zeskoczył z biurka, podszedł leniwie pod drzwi i miaucząc głośno, dopraszał się wypuszczenia. Bartek chciał go uciszyć, zbliżył się doń na czworakach, próbując odpędzić od drzwi, lecz kot prychnął z wściekłością i jak oszalały skoczył mu do oczu. Bartek jęknął, a gdy dotknął ręką policzka, na dłoni ujrzał krew.

— Ty czarny diable! — wyszeptał. Usiłował go złapać, wyrzucić przez okno, lecz i tym razem to mu się nie udało. Kot skoczył na łóżko nakryte białą kapą i, fukając, przespacerował się po nim, znacząc nieskazitelną biel kapy nieregularnym wzorem śladów łap.

Bartek westchnął żałośnie. W jego wyjałowionej z myśli łepetynie coś nagle błysnęło: Uciekać! — Wnet powziął zamiar podczołgania się pod okno, gdy wtem usłyszał niemal pieszczotliwy głos:

— Maciuś, moje złotko, gdzie jesteś?

Kot miauknął przeraźliwie. Zeskoczył z łóżka i bezszelestnie potruchtał do drzwi.

— Idziesz ty! — syknął Bartek. Zerwał z łóżka poduszkę i cisnął nią w kota. Ten uskoczył zręcznie i jeszcze raz zamiauczał.

— Maciuś! — odezwała się kobieta. Niemal jednocześnie ukazała się w drzwiach jej tęga, zwalista postać.

Bartek nie chciał być świadkiem tego, co miało nastąpić. Zamknął oczy. W tej samej chwili usłyszał przeraźliwy krzyk:

— Złodziej! Złodziej! Ratunku!

Detektyw otworzył oczy. Kobiety już nie było. Rzucił się w panicznej ucieczce do okna, lecz w oknie, niby w portretowej ramie, ukazał się Fajczarz.

— Chłopcze — zapytał nieco zdumiony — a skąd ty się tu wziąłeś?

— Ja?... Ja?... — wydusił z trudem. — No, właśnie szukałem pana.

— Jak ty wyglądasz? Co ci się stało? — Podał Bartkowi papierową chusteczkę. — Widzę, że miałeś jakiś konflikt z kotem.

Bartek chciał coś powiedzieć, otwierał już usta, gdy nagle usłyszał za sobą bolesny okrzyk kobiety.

— O, Boże! Mój sok malinowy!

Wołający o pomstę do nieba okrzyk poruszył nawet Fajczarza. Zbladł, powieki mu zadrgały i pełnym przygany głosem zwrócił się do Bartka.

— Nie mogłeś bardziej uważać?

— To nie ja... — wybełkotał.

— A kto? Duch jaki albo co!? — natarła nań kobieta. Ujrzał przed oczyma jej zaciśnięte, uniesione do ciosu pięści.

— To kot — zawołał płaczliwie.

Zaciśnięte pięści gospodyni spadłyby niechybnie na jego plecy, gdyby Fajczarz nie uniósł znacząco ręki.

— Pani Sobolowa, niech pani mi go zostawi, ja już z nim załatwię.

Kobieta z trudem opanowała gniew.

— Kot! — wołała. — Widział go kto! Mój Maciuś, taki delikatny.

— Delikatny — wtrącił nieśmiało Bartek, unosząc dłoń do policzka.

— Dobrze ci tak! — Wygrażała mu pięścią. — Szkoda, że ci oczu nie wydrapał za moje maliny. — Schyliła się po słój, a gdy go podniosła, zapłakała: — Mój Boże, ile ja się nazbierałam... a ten... — Chciała się rzucić na chłopca, lecz Fajczarz ją powstrzymał.

— Będzie pani miała maliny... Ja już...

— A w ogóle — przerwała mu — skąd ten chuligan znalazł się w moim domu?

— Podobno szukał mnie — wyjaśnił Fajczarz, robiąc do chłopca oko.

— To musiał wchodzić przez okno?

Fajczarz uśmiechnął się znacząco.

— Widocznie ta droga bardziej mu odpowiadała.

Kobieta z obrzydzeniem spojrzała na chłopca, a uniósłszy wysoko ręce, zawołała:

— Diabeł wcielony nie narobiłby mi większego bałaganu. Ech, ty — pogroziła mu — masz szczęście, że pan Henryk ujął się za tobą.

— Niech się pani nie martwi, on już dostanie za to dobre wciry.

— Ja bym mu uszy oberwała — jęknęła i schyliwszy się podniosła z podłogi słój. — Niech pan patrzy — zwróciła się do Fajczarza — ile będę miała roboty...

— O, nie, pani Sobolowa, pani nie ruszy palcem. Proszę dać mi wiadro, szczotkę i szmatę. To już jego robota.

Gospodyni skinęła na chłopca.

— Tylko pamiętaj, musi być wysprzątane na cacy.

*Adam Bahdaj*

*(Ciąg dalszy nastąpi)*

*Rys. Jerzy Flisak*

# *Nasze listy • Nasze sprawy • Nasze listy*

*„Lubimy wędrować za miasto* — napisali turyści, czyli zuchy z drużyny »Mężnych Zawiszaków« ze Starachowic. — *Czasami wędrujemy blisko, a czasami jest to daleka wyprawa. Niedawno zwiedzaliśmy Kielce. Obejrzeliśmy tam jedyne w Polsce muzeum zabawek i wybraliśmy się do teatru „Kubuś". Po przedstawieniu rozmawialiśmy z aktorami, oglądaliśmy pracownie teatralne, a nawet sami próbowaliśmy robić kukiełki. W Muzeum Regionalnym poznaliśmy ludowe obrzędy i stroje. Otrzymaliśmy zdobytą wcześniej sprawność „Kielczanina". Ale to nie jedyna sprawność jaką mamy prawo nosić. Podczas ferii zdobyliśmy sprawność „Podróżnika", którą druh wręczył nam w krużgankach XII-wiecznego klasztoru podczas naszej turystycznej wyprawy do Wąchocka. Wielu z nas nosi odznakę turystyki pieszej „Siedmiomilowe Buty". A prawie wszyscy zdobyliśmy już sprawność „Turysty". Jak na turystów przystało, braliśmy udział w kilku rajdach, np. w Zuchowym Rajdzie Przebiśniegów. Wśród różnych atrakcji tego rajdu najzabawniejszy był konkurs na najsuchszy but uczestnika wędrówki. Przy wiosennych roztopach nie było to wcale takie łatwe! W maju wzięliśmy udział w Rajdzie Najmłodszych — Najtrudniejszy Pierwszy Krok, podczas którego poznaliśmy południową część Gór Świętokrzyskich.*

*Mamy już przygotowane plany na lato. Dwudziestu jeden spośród nas wybiera się na kolonię zuchową do Jantaru. Od kilku miesięcy przygotowujemy się do tego wyjazdu. Zbieramy mapy, pocztówki, foldery turystyczne i, oczywiście, sprzęt. Zamierzamy powędrować plażą do ujścia Wisły i do Sztutowa, gdzie podczas II wojny światowej znajdował się obóz koncentracyjny. Chcemy poznać również Gdańsk i Malbork. Ale o tym i o Jesiennym Zuchowym Rajdzie Nieprzemakalnych napiszemy po wakacjach. Czuj!"*

Turystom z drużyny „Mężnych Zawiszaków" i wszystkim innym wędrowcom życzymy szerokiej drogi, suchych butów, pięknej pogody i wspaniałych przygód. Zachęcamy wszystkich do wędrówek. To świetna okazja do poznania własnej miejscowości, dalszych okolic Polski, a potem może i świata. Napiszcie o swoich turystycznych wyprawach. Chętnie wydrukujemy te listy. Czekamy! A tymczasem w jednym z najbliższych numerów „Płomyczka" zamieścimy Wasze kolejne wypowiedzi w stałym konkursie „MOJE NAJCIEKAWSZE".

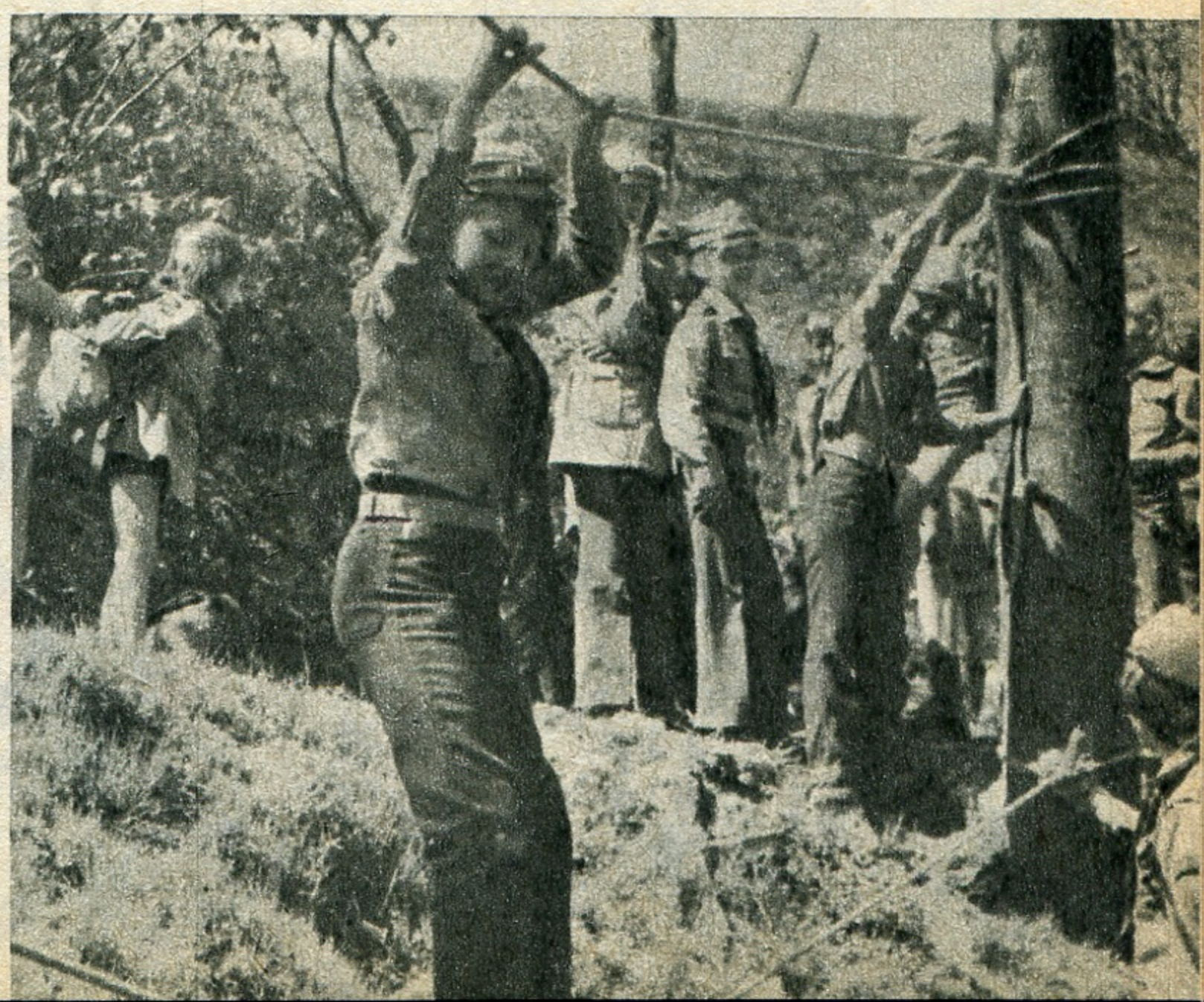

# SZCZYGIEŁKI Z PONIATOWEJ

**W rozsłonecznione, jesienne przedpołudnie spotkałam biało-czerwony autokar, stojący na placu w pobliżu jednego z z warszawskich muzeów. Autokar pełen... „szczygiełków". Zatrzymuję się przy nich z uśmiechem, powitanie odwzajemniają mi machaniem rąk, zapraszają do środka. To zespół „Scolares Minores pro Musica Antiqua" i „Szczygiełki" z Poniatowej w woj. lubelskim. Ten napis łaciński umieszczony na autokarze znaczy: Mali Uczniowie Wykonujący Muzykę Dawną.**

**Zespół składa się z ponad 200 dziewcząt i chłopców, uczniów Szkoły Podstawowej im. Stefana Żeromskiego. Zajmują się oni, pod kierunkiem swoich nauczycieli i opiekunów, muzykologów Danuty i Witolda Danielewiczów, śpiewem i muzyką z okresu XI—XVIII w. Grają na starych instrumentach, fletach, obojach, gęślach, harfach, skrzypcach, gitarach. A także na tak oryginalnych, jak: krumhorn, szałamaja, fidel, portatyw i lutnia. Śpiewają pieśni i piosenki w jedenastu językach, między innymi po łacinie.**

**„Scolares" i „Szczygiełki" w czasie występów ubrani są w stroje dawnych uczniów, żaków, dziewczęta noszą długie, barwne sukienki, gorseciki, takie, jakie nosiły małe mieszczaneczki za czasów Piastów czy Jagiellonów.**

**Zespoły już od paru lat koncertują nie tylko u siebie, w swojej okolicy, ale i za granicami Polski. Były w paru krajach**

sąsiednich oraz w zachodnich. Młodzi muzycy zobaczyli kawał świata, zapoznali się ze swymi kolegami z Czechosłowacji, Jugosławii, Niemiec, Francji, Belgii, Hiszpanii. Brali udział w 13 festiwalach międzynarodowych. Do ich najważniejszych osiągnięć można zaliczyć m. in. zdobycie „Złotej Struny" na Międzynarodowym Festiwalu Młodzieży Muzykującej w Bydgoszczy, otrzymanie pierwszej nagrody na Krajowym Festiwalu Schola Cantorum w Kaliszu, uzyskanie głównej nagrody na Festiwalu ALAVA w Hiszpanii oraz zajęcie pierwszego miejsca z wyróżnieniem na Festiwalu NEERPELT w Belgii.

Czy lubią swoją pracę i swoją sztukę ci mali artyści?

Nie tylko lubią, ale mocno kochają. Nie może być inaczej, choć to nauka wymagająca ogromnej cierpliwości i zapału, nie tylko zdolności. Muszą ją kochać, skoro wszystkie chwile wolne od nauki szkolnej poświęcają na lekcje, ćwiczenia i próby muzyki i śpiewu. Zespół zresztą się zmienia. Starsi, którzy już odchodzą, muszą być zastąpieni przez nowych, młodszych, a ci znowu zaczynają od początku. Uczą się całe miesiące i nawet parę lat, zanim mogą występować. Ich opiekunowie i nauczyciele, muzycy, państwo Danuta i Witold, są całkowicie oddani swej pracy, rozmiłowani w niej. Ich zapał udziela się dzieciom. To dzięki temu Poniatowa rozbrzmiewa chórem młodych głosów i nikt się tu nie nudzi. A jakie dumne jest miasteczko ze swych zespołów!

*Helena Kujawska*

*Fot. Wiesław Sumiński*

# JUŻ WKRÓTCE ŚWIATOWE ZGROMADZENIE DZIECI

Począwszy od roku 1979 odbywają się w Sofii, co trzy lata, bardzo pożyteczne, a zarazem barwne spotkania szczególnie utalentowanych dzieci z całego świata.

W pierwszym Zgromadzeniu wzięły udział dzieci z 81 krajów. Dziewczynki i chłopcy w wieku od 7 do 14 lat. Kilkaset muzykujących, malujących i piszących wiersze dzieci.

W Zgromadzeniu, które odbyło się w 1982 roku uczestniczyły dzieci z 117 krajów.

A teraz, w lipcu 1985 roku, wszystko wskazuje na to, że będzie ich jeszcze więcej. Wielojęzyczny gwar wzbogaci się co najmniej o kilkanaście nowych języków. Ale nie ma obawy — dzieci porozumieją się, nie odejdą od siebie. Brak słów zastąpi inna mowa: uśmiech, przyjazne dotknięcie dłoni i serdeczne spojrzenie.

*

Więcej o III Światowym Zgromadzeniu Dzieci pod nazwą „Sztandar Pokoju" dowiecie się — Drodzy Czytelnicy — z czerwcowego numeru *„Panoramy Bułgarskiej"*.

Znajdziecie tam (w poszerzanym obecnie przez redakcję tego miesięcznika, dziale dla dzieci) nie tylko wiersze bułgarskich poetów, nie tylko sporo informacji o tegorocznym Zgromadzeniu Dzieci Świata i o budowie nad rzeką Ropotamo Międzynarodowego Ośrodka dla Dzieci, ale także wiele ciekawych materiałów, np. o tym, jak można przewidzieć trzęsienie ziemi.

O tym Centrum Dziecięcym nad rzeką Ropotamo wiemy na razie tylko tyle: ma to być ośrodek odpoczynku i pracy twórczej dzieci. Będą doskonalić w nim swoje zdolności artystyczne pod kierunkiem wybitnych fachowców.

*

My natomiast — tu w „Płomyczku" — będziemy przekazywać, w następnych numerach, nie tylko informacje o przebiegu III Zgromadzenia, o składzie polskiej grupy, ale również spróbujemy zastanowić się nad tym, co trzeba zrobić, aby te przyjaźnie nawiązywane przez dzieci z różnych stron świata nie mijały jak sen złoty, ale aby trwały. Aby jeszcze więcej dzieci mogło — w różny sposób — brać udział w tej radości, która przekracza granice państw.

*Tadeusz Chudy*

*Dzwony Pokoju pod Witoszą w Sofii*

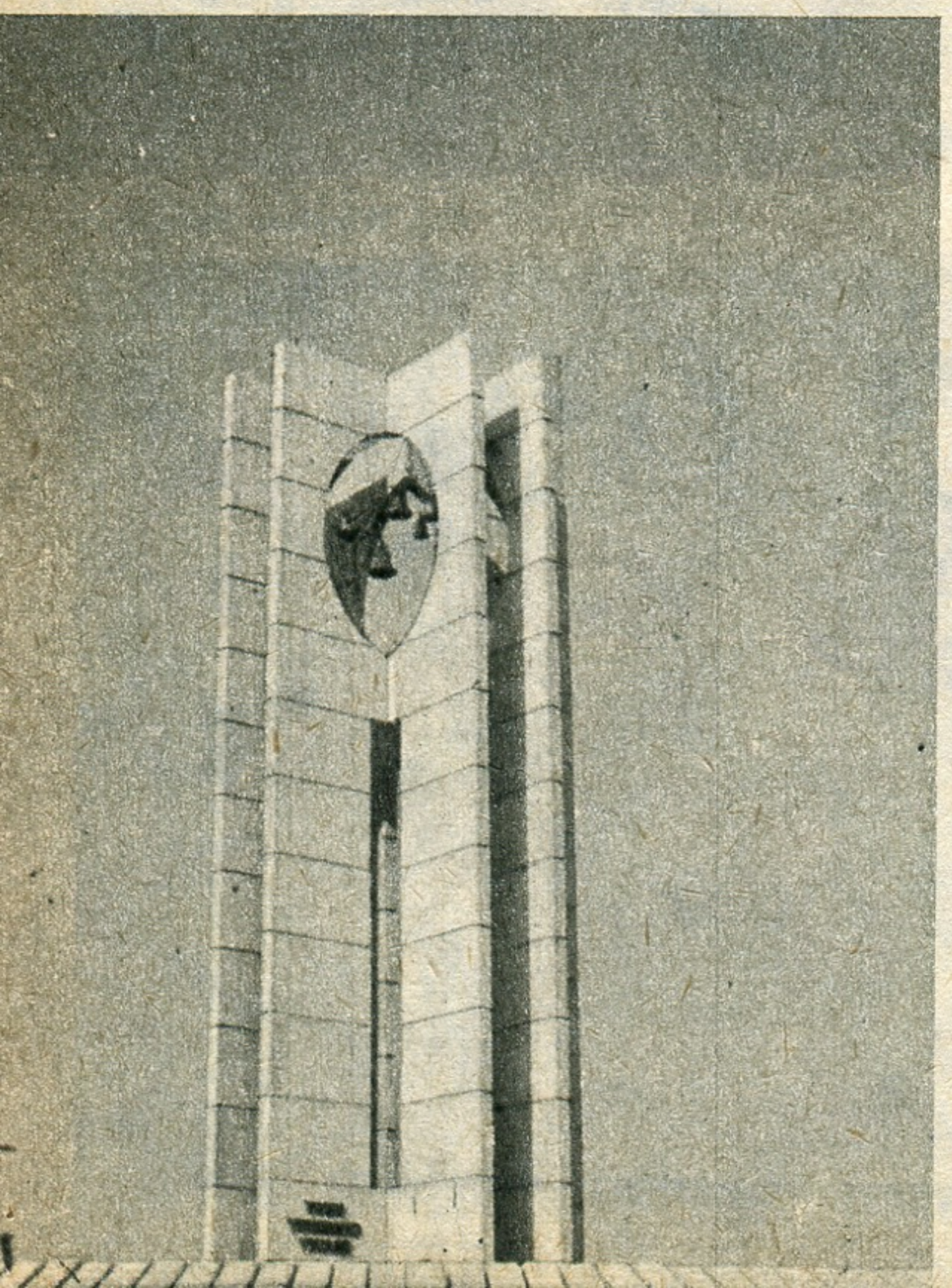

# NIEOBOZOWE LATO

**Wakacje za pasem. Pora zastanowić się, jak je spędzić, by uniknąć nudy. Harcerze zapraszają wszystkich, którzy pozostają w swojej miejscowości, na Wielki Turniej Bobrów i Sokołów. Rozpoczyna się on już w pierwszym dniu wakacji.**

*

**Przewiduje się między innymi następujące zadania turniejowe:**
**1. Wykrywanie „czarnych dopływów", czyli ścieków zanieczyszczających rzeki. Miejsce spuszczania ścieku do rzeki należy zaznaczyć na szkicu i powiadomić o zanieczyszczeniu Wydział Ochrony Środowiska Urzędu Gminnego.**
**2. Wędrówki śladami ruin, czyli wytyczanie i poznawanie tras, na których znajdują się ruiny obiektów historycznych.**
**3. Bezkrwawe łowy na leśnych tropach, czyli obserwacje, fotografowanie, rysowanie i nagrywanie leśnego życia oraz pomoc dla bezdomnych zwierząt (pomoc tę najlepiej organizować pod opieką dorosłych — rodziców, nauczycieli, instruktorów harcerskich i instruktorów Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami).**
**4. Zawody z Pinokiem, czyli organizowanie podwórkowych teatrzyków kukiełkowych, teatrzyków cieni i innych występów dla rówieśników.**

*

**Bardziej szczegółowe informacje na temat turnieju znajdziecie w czerwcowych numerach harcerskiej gazety „Świat Młodych". Meldunki o wykonywanych zadaniach turniejowych należy nadsyłać do Kwatery Głównej ZHP 00-561 Warszawa, ul. Konopnickiej 6.**

*

**„Płomyczek" gorąco popiera Turniej Bobrów i Sokołów jako znakomitą rozrywkę dla wszystkich, którzy nie wiedzą, jak spędzić wakacje. Biorąc udział w Turnieju na pewno będziecie się doskonale bawić.**

**Prosimy Was, przyślijcie pisemne opowiadania, wspomnienia i opisy swoich turniejowych zmagań do Redakcji „Płomyczka". Najciekawsze wydrukujemy.**

*Andrzej Ziniewicz (ZHP)*
*Teresa Wilk-Białożej („Płomyczek")*
*Fot. Dariusz Kwapisz*

# ROZMOWA Z ANDRZEJEM GRUBBĄ

Z lotniska Okęcie w Warszawie o 18.00 odlatuje samolot do Gdańska. Do godziny 18.00 zostało jeszcze 40 minut. Wśród oczekujących na odlot zwycięzca w plebiscycie „Przeglądu Sportowego" na najlepszego sportowca roku 1984, znany tenisista stołowy — Andrzej Grubba.

Siedzimy przy jednym ze stolików w poczekalni Portu Krajowego.

— *Chcę zadać panu kilka pytań. Pierwsze: jak zaczęła się pana przygoda ze sportem?*

**— To naprawdę trudno powiedzieć, rodzice od najmłodszych lat ciągali mnie po różnych boiskach, oboje żywo interesowali się sportem. Będę w tym miejscu nieskromny i powiem, że już w VIII klasie zdobyłem mistrzostwo województwa w rzucie oszczepem. Ale zawsze najbardziej chciałem grać w piłkę ręczną. Bozia jednak, jak to się mówi, poskąpiła mi warunków fizycznych i musiałem zrezygnować z kariery piłkarza ręcznego.**

— *No, i wybrał pan tenis stołowy, od kiedy?*

**— Tę datę doskonale pamiętam, mimo że upłynęło od tego dnia sporo czasu. Właśnie 1 lutego 1972 roku zacząłem trenować w Klubie „Neptun" w Starogardzie Gdańskim. Cztery razy w tygodniu dojeżdżałem (20 km) do Starogardu na treningi. Potem były studia na AWF-ie, i znów codzienny trening.**

— *Każdy z nas przynajmniej raz, na wczasach, w świetlicy, próbował grać w ping-ponga, ale nie każdy zostaje przy stole pingpongowym na stałe. Czy mógłby pan, panie Andrzeju, powiedzieć naszym czytelnikom, co trzeba robić, żeby zostać dobrym tenisistą stołowym?*

**— Uprawiać sport od najmłodszych lat. Niekoniecznie tenis, ale lekkoatletykę i sporty grupowe. A poza tym trzeba dużo pracować pod okiem fachowców.**

— *Jak wygląda pana codzienny trening?*

**— Trenuję od 3 do 6 godzin dziennie, i to nie tylko przy stole, ale również biegam, mam zajęcia w siłowni.**

*— Zdobył pan już do tej pory wiele medali i tytułów. Dostarcza pan swoim kibicom coraz to nowych powodów do radości. Przypomnijmy te występy ostatnie, niedawne...*

**— Budapeszt 1983 r. Mistrzostwa Europy w mikście* z Bettiną Vriesekoop. Moskwa — 1984 r., Wicemistrzostwo Europy w singlu** i Wicemistrzostwo Europy drużynowo, Barcelona — 1985, „Turniej Mistrzów" Top 12***.**

*— Które z tych osiągnięć najbardziej pan ceni?*

**— Zwycięstwo w turnieju Top 12 Barcelona.**

*— Czym interesuje się pan poza sportem?*

**— Chyba w tym miejscu zaskoczę panią i moich kibiców również. Najbardziej obecnie interesuje mnie mój syn Tomasz. Bardzo lubię dom. Może dlatego, że ostatnio rzadko w nim bywam. Interesuję się muzyką, filmem. Często oglądam różne filmy na wideo.**

*— Pana ulubiony zespół?*

**— Zdecydowanie „Foreigner".**

*— Panie Andrzeju, co by pan zrobił, gdyby pana syn chciał w przyszłości zostać sportowcem?*

**— Nie sprzeciwiałbym się, chociaż uważam, że jest to dość ciężki kawałek chleba. Doradzałbym mu futbol.**

*— W imieniu Czytelników „Płomyczka" dziękuję Panu za rozmowę.*

Elżbieta Wrzecionkowska

*Fot. P. A. Interpress*

---

* *gra par mieszanych*

** *gra pojedyncza*

*** *turniej 12 najlepszych zawodników Europy*

Czytelnikom
„Płomyczka"

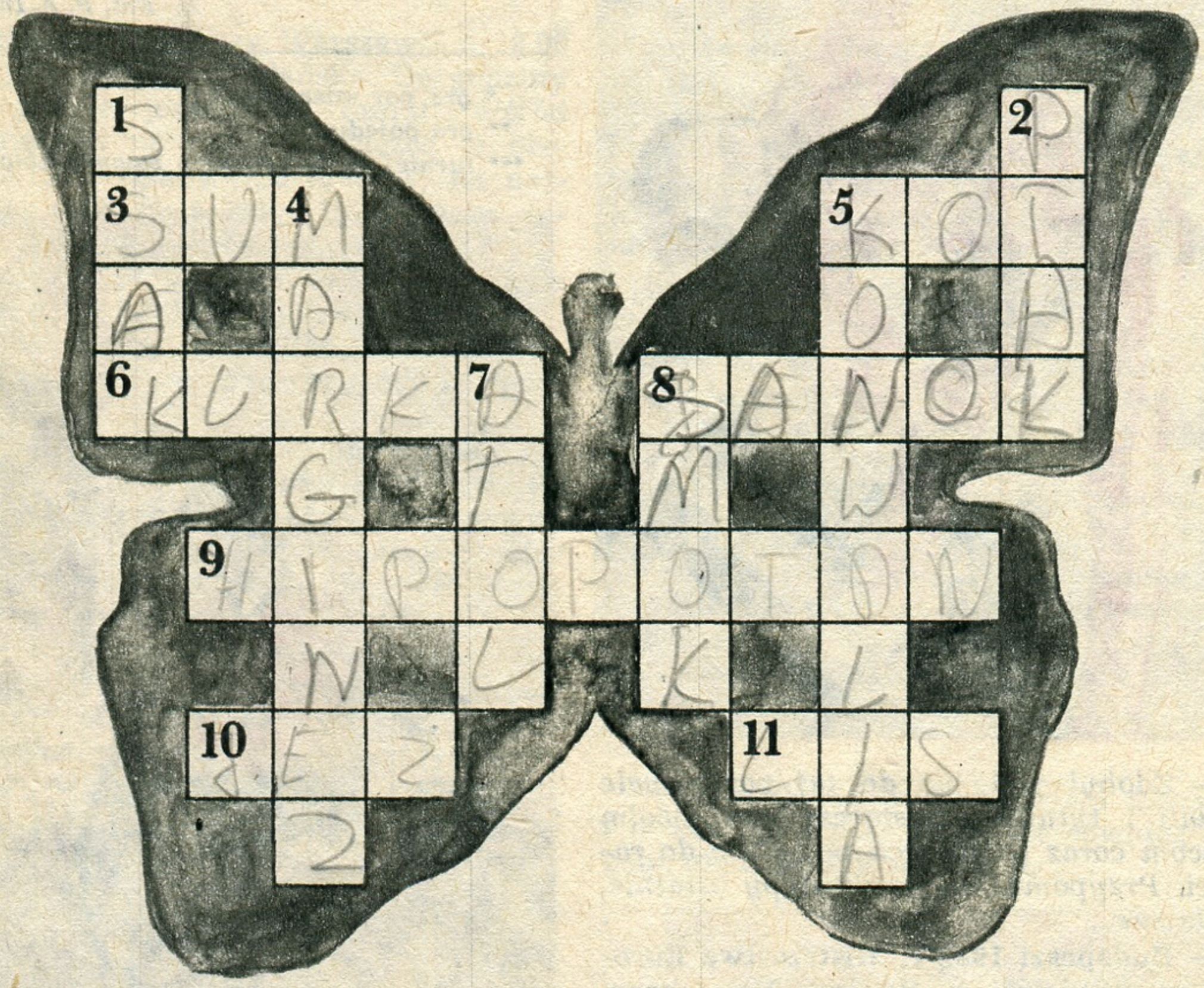


## *Krzyżówka z motylem*

W kratki figury wpisz wyrazy o podanych niżej znaczeniach:

Poziomo: 3. słodkowodna ryba z wąsami, 5. nieprzyjaciel myszy, 6. żółty grzyb jadalny, 8. miasto nad Sanem, znane z fabryki autobusów, 9. zwierzę — grubas, żyje w Afryce, uwielbia kąpiele, 10. zwierzątko z kolcami, 11. jest rudy i mieszka w norze.

Pionowo: 1. nie ryba, nie ptak, 2. nie ssak, nie ryba, 4. nie zapisana część stronicy wzdłuż jej brzegu, 5. ma drobne, białe, dzwonkowate kwiaty o pięknym zapachu. 7. wyspa koralowa w kształcie pierścienia na morzach tropikalnych, 8. wawelski potwór.

## RÓWNY PODZIAŁ

Narysowaną figurę podzielcie na cztery jednakowe części tak, aby w każdej z nich znalazły się dwa kółka.

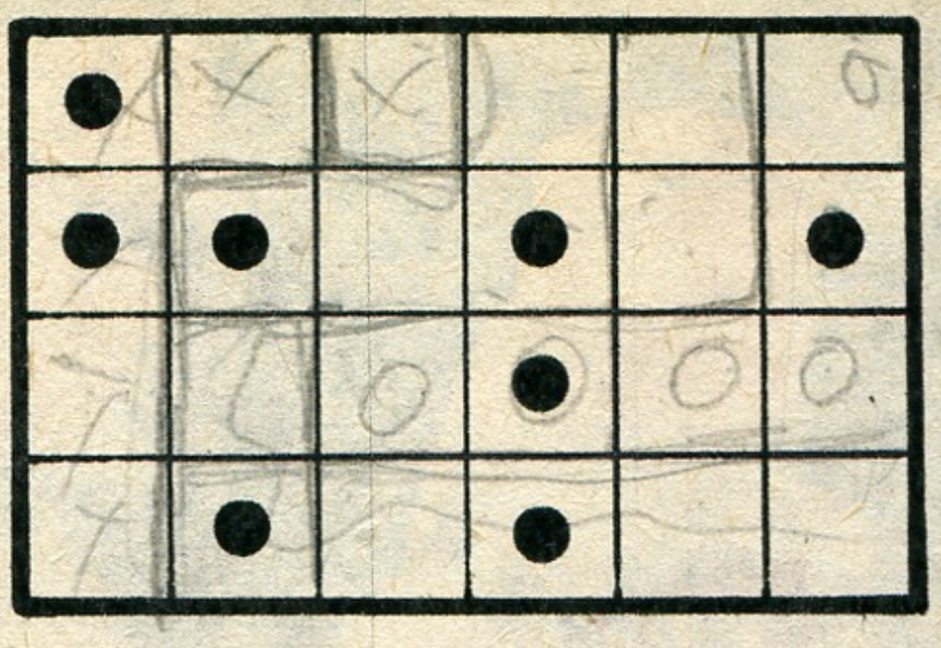

# Krzyżówka

Do pustych kratek wpiszcie wyrazy o niżej podanych znaczeniach.

Poziomo: 4. ma łupiny z kolcami i piękne, brązowe owoce, 5. między porucznikiem a majorem, 6. zdobi okno.

Pionowo: 1. w matematyce do rozwiązania, 2. w nim leczy się chorych, 3. klocki lub lalka w ręku dziecka.

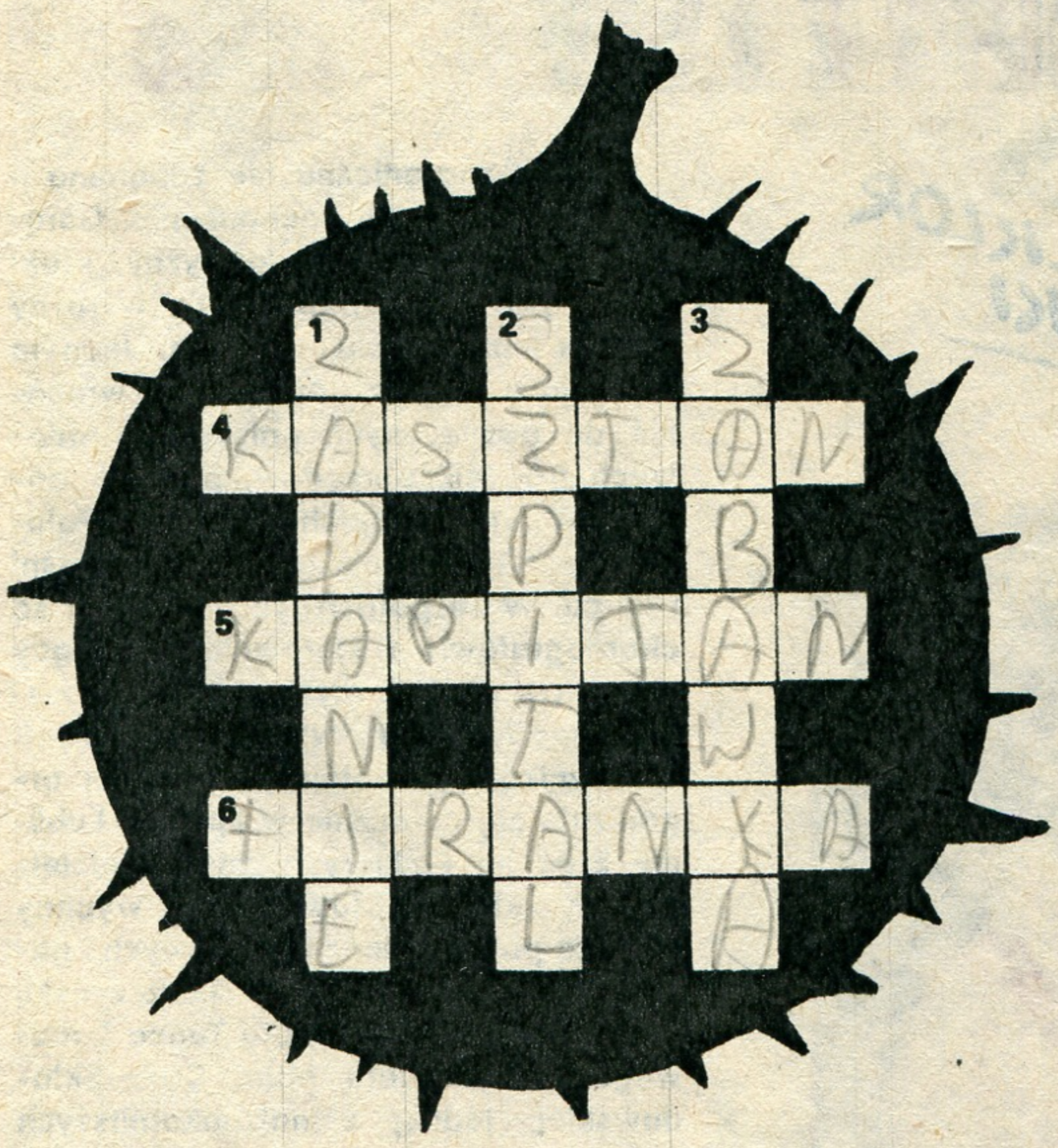


**ROZWIĄZANIA Z NRU 9**

**Zwierzęta chronione: Ptaki i ssaki (sokół, łoś, świstak, kormoran, nietoperz, zimorodek, kos); Zagadka matematyczna: Dzień Zwycięstwa; Ile kwadratów? 28**


**PŁOMYCZEK**

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

**ADRES REDAKCJI:**

**ul. Spasowskiego 4,**
**skr. pocztowa 380**
**00-950 Warszawa**
**Tel. 26-27-24**

**WYDAWCA:**
**Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"**

**CENA PRENUMERATY:**

**kwartalnie — 90 zł,**
**półrocznie — 180 zł,**
**rocznie — 360 zł.**

**ZESPÓŁ REDAKCYJNY:**

**Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Władysław Skalny (redaktor techniczny), Teresa Wilk-Białożej**

**WARUNKI PRENUMERATY:**

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:

— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;

— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1985 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8. Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, i rotogr. 125 g, 86 × 122 cm, kl. V.

Zam. 1500/85 L-7

Nakład 430 370 egz.

INDEKS 36875

CENA 15 ZŁ

# FOLKLOR POLSKI

**Polonia zagraniczna nie zapomina o swoim narodowym pochodzeniu. Gorące uczucie miłości do ojczyzny, kraju swych przodków, manifestuje w różny sposób i przy wielu okazjach. Jednym z przejawów tego uczucia jest wracanie do odwiecznych polskich narodowych tradycji, obrzędów, pieśni i tańców. W wielu krajach osiedlenia Polaków powstają polskie zespoły pieśni i tańca. W zespołach tych potrzebni są choreografowie i kierownicy umiejący je poprowadzić. Z myślą o przygotowaniu odpowiednio wykwalifikowanych kierowników zespołów polonijnych organizuje się corocznie w lipcu w Lublinie Studium Folklorystyczne. Wieloletnim dyrektorem Studium jest wybitny znawca polskich tańców ludowych i narodowych — Stanisław Leszczyński, twórca i dyrektor Zespołu Tańca Ludowego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, jednej z najznakomitszych polskich grup folklorystycznych.**

**Na naszych fotografiach uczestnicy Studium w Lublinie.**

*Tekst i zdjęcia:*
*Tadeusz Samborski*